IEZKA KIESZONKOWA IV.

MARJA,

EŚĆ UKRAIŃSKA

PRZEZ

NIEGO MALCZEWSKIEGO.

ANIE PIERWSZE, CAŁKOWITE,
ZONE DOKUMENTAMI I DODAT-
KAMI POETYCZNEMI
LJUSZA SŁOWACKIEGO.

LIPSK:
KASPROWICZ.

z najlepszych dzieł katolickich, z dodatkiem odpustów do tych nabożeństw, oraz budujących uwag i rozmyślań. Zebrał i wydał K. Ł. Kasprowicz. I. Wydanie [illegible] biet. II. Dla mężczyzn. 32. [illegible] czwarta i piąta. Po 3 Mk.

— do. — Edycja szósta. Druk wielki. 3 Mk.

[illegible]nik II. O naśladowaniu Jezusa Chrystusa przez Tomasza à Kempis, przekład T. Matuszewicza z uwzględnieniem nowoczesnej ortografji. Książ[ka] cztery. 32. 2 Mk.

[illegible]nik III. Wianek nabożeństwa dla dzieci polskich. Ułożył i wydał K. Ł. Kasprowicz. 32. Edycja druga. — 1 Mk. 50 Pf.

[illegible]nik IV. Franciszek Salezy, Droga do życia pobożnego. Tłomaczenie K[s]. Kan. Denhoffa, Opata. 32. Wydanie drugie. 3 Mk.

[illegible]nik V. Liguori, Nawiedzania Najświętszego Sakramentu, i zbiór modlitw. 32. Wydanie drugie. 1 Mk. 50 Pf.

(Wszystkie te książeczki approbowała cenzura [du]chowna i świecka w całej Polsce.)

(Księgarnia utrzymuje zapas egzemplarzy [op]rawnych w płutno, w skórkę, francuską od [naj]tańszych do najdroższych gatunków, bez okucia lub z okuciem, w aksamit, kość słoniową, [i]. d. po najprzystępniejszych cenach. [illegible]

MARJA.

.VIESC UKRAINSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

PIERWSZE WYDANIE CAŁKOWITE, UZUPEŁNIONE DOKUMENTAMI I DODATKAMI POETYCZNEMI

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

LIPSK:
E. Ł. KASPROWICZ.
1882.

Od wydawcy.

Marja Antoniego Malczewskiego jest jedynym może utworem, jaki najwięcej wydań się doczekał i tylko „Śpiewy historyczne“ J. U. Niemcewicza*) pod tym względem z nią rywalizować by mogły. Przecież pomimo tylu wydawców „Marji“ żaden z nich nie wpadł na myśl dopełnienia jej owym prześlicznym ustępem wsławionego w ostatnich czasach Juljusza Słowackiego, który w poemacie o „Wacławie“ rozwinął obraz własnych pojęć o potępionym duchu nieszczęśliwego małżonka Marji, a swojemu Dantyszkowi piekielne jego męki w wieczności opisywać każe.

*) Bibljoteczki kieszonkowej, Nr. 1 w siódmem ich wydaniu.

Nie wchodząc blżej w różnicę poglądu obu narodowych poetów, można tu z łatwością porównać poloty ich ducha i zważywszy głęboką wartość poematu Marji, wywnioskować o wysokości genjuszu jej twórcy, któryby mógł stanąć na równi pierwszorzędnych wieszczy Kraju, gdyby lutnia jego niestety nie zamilkła zawcześnie.

„Marja Malczewskiego“ nie traci nic na wartości w towarzystwie „Wacława“ a nawet i „Dantyszka“; i owszem, będzie ona pożądanym darkiem, a może dla wielu czytelników zabłyśnie nowem światłem sławy w połączeniu pod tak nieoczekiwaną postacią dwóch wielkich poetów naszego stulecia.

MARJA.

POWIEŚĆ UKRAIŃSKA

PRZEZ

ANTONIEGO MALCZEWSKIEGO.

Do jaśnie wielmożnego

Juliana Niemcewicza.

Dawno już niedoznana pociecha ożywia serce moje w chwili, w której mi wolno, przypisując jwpanu tę powieść, publicznie wyrazić uwielbienie dla jego charakteru i tej, niezmordowanej życiem, świetnej wyobraźni a pełnej wdzięków erudycii, jakich nie przestajecie używać na wzbogacanie literatury polskiej w coraz nowe i tak szacowane dzieła. Nie dziw, że mnie to bardzo pochlebia, iż mi pozwalacie ozdobić karty moje waszem imieniem. Kiedy dusza każdego rodaka lubi się karmić słodyczą waszego pióra, i nie tylko mój umysł rad się przegląda w biegu czystym i użytecznym waszego życia: więcej powiem — i nikt mnie o przesadę nie oskarży — imię wasze jest dla młodych Polaków noszonym przy sercu zabytkiem, bośmy się o

waszej sławie jeszcze od naszych ojców dowiedzieli, a wy czarownym sposobem przypominacie się ciągle naszej wdzięczności. Nie znajdziecie w moich wierszach tego powabu który swoim nadawać umiecie; tęskne i jednostajne jak nasze pola, i jak mój umysł, ciemną tylko farbą zakreślą wam niewykończone obrazy; ale jeśli ten hołd słaby oddany waszej zasłudze wznieci w was jakie miłe uczucie, już ja wtedy hojnie zapłacony będę za moje posępne malowidło, kiedy się choć chwilę zastanowicie, jakto ziomkowie wysoko cenić umieją wasze przymioty i prace.

Jaśnie wielmożnego wpana

najniższy sługa

MALCZEWSKI.

PIEŚŃ I.

Wszystko się dziwnie plecie
Na tym tu biednym świecie;
A ktoby chciał rozumem wszystkiego
dochodzić,
I zginie, a nie będzie umiał w to ugodzić.

Jan Kochanowski.

I.

Ej! ty na szybkim koniu gdzie pędzisz kozacze?
Czy zaoczył zająca co na stepie skacze?
Czy, rozigrawszy myśli, chcesz użyć swobody.
I z wiatrem ukraińskim puścić się w zawody?
Lub może do swej lubej, co czeka śród niwy,
Nucąc żałosną dumkę, lecisz niecierpliwy?
Bo i czapkęś nasunął, i rospuścił wodze,
A długi tuman kurzu ciągnie się na drodze.
Zapał jakiś rozżarza twojej twarzy śniadość,
I jak światełko w polu błyszczy na niej radość;
Gdy koń, co jak ty, dziki lecz posłuszny żyje,
Porze szumiący wicher, wyciągnąwszy szyję.
Umykaj czarnomorcu z swą mażą skrzypiącą,
Bo ci synowie stepu twoją sól rostrącą.
A ty czarna ptaszyno co każdego witasz,
I krążysz, i zaglądasz, i o coś się pytasz,
Spiesz się swą tajemnicę odkryć kozakowi —
Nim skończysz twoje koło, oni ujść gotowi.

II.

Pędzą — a śród promieni zniżonego słońca,
Podobni do jakiego od niebianów gońca —
I długo i daleko słychać kopyt brzmienie:
Bo na obszernych polach rozległe milczenie:
Ani wesołej szlachty, ni rycerstwa głosy,
Tylko wiatr szumi, smutnie uginając kłosy;
Tylko z mogił westchnienia, i tych jęk z pod trawy,
Co śpią na zwiędłych wieńcach swojej starej sławy.
Dzika muzyka, dziksze jeszcze do niej słowa,
Które duch dawnej Polski potomności chowa;
A gdy cały ich zaszczyt, krzaczek polnej róży,
Ach! czyjeż serce, czyje, w żalu się nie nuży?

III.

Minął już kozak bezdnie (1), i głębokie jary
Gdzie się lubią ukrywać wilki i Tatary:
Przyleciał do figury (co jej wzgórek znany,
Bo pod nią już od dawna upior pochowany).
Uchylił przed nią czapki, żegnał się trzy razy,
I jak wiatr świsnął stepem z pilnemi roskazy.
I koń rzeski, żadnym się urokiem nie miesza,
Tylko parsknął, i wierzgnął, i dalej pospiesza.
Ciemny Boh po granitach srebrne szarfy snuje,
A śmiały, wierny kozak myśl pana zgaduje,
Szumi młyn na odnodze, i wróg w łozie szumi,
A żwawy wierny konik kozaka rozumie,
I przez kwieciste łąki, przez ostre bodiaki,
Lżej się nie przesuwają pierzchliwe sumaki;
I jak strzała schylony na wysokiej kuli,
Czai się zwinny kozak, do konia się tuli:
I przez puste bezdroża król pustyni rusza,
A step, koń, kozak, ciemność, jedna dzika dusza.
O! któż mu tam przynajmniej pohulać zabroni?
Zginął — w rodzinnym stepie nikt go nie dogoni.

IV.

Ruszaj, ruszaj kozacze! pośpiech nakazany:
W starym wyniosłym zamku nie małe odmiany:
Pan wojewoda z synem od dawna w rosprawie.
Długo teraz rozmawiał, i bardzo łaskawie;
A jednak, żywe były urazy i zwady,
Zatruta serc pociecha, zniszczono układy,
I łzy czułej rospaczy i pychy zapału
Płynęły często, gorzko, ale bez podziału.
Już inaczej w tym zamku, znikły niesmak, żałość,
Jaśnieje przepych pański, naddziadów spaniałość;
Już, śród licznego dworzan i służby orszaku,
Grona paziów, rycerzy domowego znaku.
W okazałe komnaty, długo niewidziany
Zeszedł pan wojewoda bogato przybrany;
A gdy każdy to szczęście usiłował głosić,
Zdawał się więcej synem, niż chlubą unosić.
W spokojnych jego rysach trudno poznać znamię
Głębokich wewnątrz uczuć; tylko dzielne ramię,
Świetna mowa dla ludzi, imię znakomite;
Co w sobie to na zawsze dla wszystkich ukryte.
Lecz teraz, czy z potrzeby, czy w nagłem wzruszeniu,
W pieszczotach dawał ulgę długiemu cierpieniu;
I gdy w cichości z synem jakąś sprawę waży,
Widocznie, uśmiech igrał na poważnej twarzy,
A w oczach się mignęła szybka, dzika radość,
Jak kiedy długim chęciom już się staje zadość,
Jak gdy w trudzącym biegu i myśli ucisku
Spocznie kto już na chwilę, choćby na mrowisku.
Spocznie? Oh! może tylko czoło pałające
Położy, gdzie go żądeł czekają tysiące.

V.

Do późnej nocy w zamku zgiełk i tentent trwały;
Do późnej nocy trąby i wiwaty grzmiały;

Dawny wrócił obyczaj, spaniała ochota,
Długie się stoły lśniły od srebra i złota;
I loch pański jak serce zdawał się otwarty.
A stary węgrzyn płodził nie bez duszy żarty;
I godząc huczne tony z wesołym hałasem.
Muzyka z swą melodją przebiła się czasem.
Do późnej nocy twarze ostre, malowane.
Przodków, w długim szeregu zebranych na ścianę,
Zdały się iskrzyć nieraz martwemi oczami,
I śmiać się do pijących, i ruszać wąsami.

VI.

W ustach mieszka wesołość, w oczach myśl zgadnienia.
W głębi to, w głębi serca robak przewinienia;
A gdy jaka uciecha razem ludzi zbierze.
I pycha i pochlebstwo śmieją się, nie szczerze.
Może tak w dawnym zamku, bo w rżnięte podwoje
Już noc zaprowadziła ciemne rządy swoje;
Już ucichli surmacze; sen szczęście osłania.
I puszczyk z wieży zaczął grobowe wołania:
A jeszcze, w bocznem skrzydle obszernej budowy,
Gdzie dzielny wojewoda wzrok orli, surowy,
Pomarszczoną powieką w ustroniu przyciska.
Jak w jaszczur kryją kamień, którym duma błyska;
Jeszcze stuk chodu słychać, lub ciężkie westchnienia
W przerwanem tępotaniu wracają sklepienia.
Nikt tam nie zawołany wnijść się nie poważy,
Tam jego myśl ukryta samotnie się żarzy,
Tam może brnąć już w rospacz: w niezwykłej niemocy,
Depce burzliwym krokiem po ciemnościach nocy,
Jakby w jej czarnem tchnieniu chciał gdzieś znaleźć rękę
Krwawej, zgubnej przyjaźni, lub zgasić swą mękę!
I gdy z gorących oczu sen trwożny odlata,
I gdy mu duszną była wysoka komnata.

Otworzył wąskie okno, patrzał czas niejaki
Na swoje liczne hufce, rozwinięte znaki,
Co się do nakazanej zbierały wyprawy;
Słuchał budzącej trąby i wojennej wrzawy!
Prychają rącze konie, brzęczą w ruchu zbroje,
Szumią skrzydła husarzy, chcą lecieć na boje.
Dla nich wstające słońce, w różowej pościeli,
Blaskiem złotych warkoczy widokres weseli,
I wznosząc świetne czoło, najpierwszem spojrzeniem
W lśniącej stali swe wdzięki postrzega z zdziwieniem;
Dla nich pachnący wietrzyk, co swój oddech świeży
Dmucha na włosy dziewic i pióra rycerzy:
Dla nich gwar małych ptasząt, w żywej, słodkiej nucie,
Co z mokrych rosą dziobków wyrywa uczucie;
Nie dla niego! on nie chciał na widoku zostać,
W niknących cieniach zamku zanurzył swą postać,
Jak te straszące mary, które bojaźń nasza
Widzi w bezsennej nocy, poranek rosprasza.

VII.

Dano znak, wrzasły trąby, szczęknęły podkowy,
Mężnego towarzysza wierny szeregowy
Jak cień nie odstępuje, i szybkim obrotem
W ciasną, gotycką bramę suną się z łoskotem.
Zagrzmiała długiem echem do sklepienia drżąca,
Aż łagodniejszą ziemię, lżej kopyto trąca:
I ciszej, ciszej brzęcząc, już słabo, zdaleka,
Głuchy dochodzi odgłos, i coraz ucieka.
Dopiero to na polu, gdzie ogromne koło
Wytoczyło już słońce, bujają wesoło;
I pstrym swoim proporcem, nim sławy dostąpią,
W żywych strumieniach światła jak orły się kąpią.
Tysiące piór, kamieni, w blask, w farby się stroi;
Tysiące drobnych tęczy odbija się w zbroi;

A na ich bystrych oczach siedziało zwycięstwo,
A na ich serc opoce kwitły wierność, męstwo;
A na czele tych szyków wyniosły młodzieniec...
Lecz któż on? jakiż chwały czy szczęścia rumieniec
Lniane chce cienić włosy? Oh! milszy sto razy,
Niż różowe porankiem natury obrazy,
I słodszy i jaśniejszy od chwały połysku.
Ten blask, co w jego serca żywi się ognisku,
Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia (2).
Na lotnym jechał koniu, i nad jarów brzegi,
Poprowadził w porządku milczące szeregi...
Znikli w zarosłą przepaść, aż krążąc parowy,
Jeszcze raz, świetne z krzaków ukazali głowy;
Jakiś na wzgórku roskaz młodzieniec dał znakiem,
I poszli, poszli drogą za żwawym kozakiem,
Którego lekkie ślady od kopyt bez stali,
Wietrzyk z rosą, jak dzieci, piaskiem przysypali.

VIII.

I ciche, puste pola: znikli już rycerze,
A jakby sercu brakli, żal za nimi bierze.
Włóczy się wzrok w przestrzeni; lecz gdzie tylko zajdzie,
Ni ruchu nie napotka, ni spocząć nie znajdzie.
Na rozciągnięte niwy słońce zkosa świeci,
Czasem kracząc, i wrona i cień jej przeleci,
Czasem w bliskich burzanach świerszcz polny zaćwierka,
I głucho, tylko jakaś w powietrzu rozterka.
To jakże? Myśl przeszłości w tej całej krainie
Na żaden pomnik ojców [illegible]odnie nie spłynie,
Gdzieby tęsknych uniesień [illegible]żyć mogła brzemię?
Nie! chyba, lot zwinąwszy, zanurzy się w ziemię:
Tam znajdzie zbroje dawne co zardzwiałe leżą,
I kościę, co nie wiedzieć do kogo należą:

Tam znajdzie pełne ziarno w rodzajnym popiele,
Lub robastwo rozległe w świeżem jeszcze ciele;
Ale po polach błądzi nie sparłszy się na nic,
Jak rospacz, bez przytulku, bez celu, bez granic.

IX.

Pod staremi lipami miecznik dumał stary,
I dźwigał w zwiędłej głowie utrapień ciężary:
Chociaż ten czarny żupan, smutny przy siwiznie,
Nosił i jasne barwy gdy służył ojczyznie,
Ojczyznie! której imię śród boju i rady,
I spornego wyboru, i hucznej biesiady,
Czystym gorzało ogniem, a serce, jak w wiośnie
Ptak do słońca, do niego skakało radośnie!
Ale czas świetnych uczuć już zciemniał, ej! minął,
I boli tylko życie, a kwiat jego zginął.
Dumał, i przeszłe żale, obecne zgryzoty,
Pokrył kir nieprzebity grożącej sromoty;
O! póki tchu przynajmniej, tak łatwo i marnie
Płomień zawziętej pychy gniazda nie ogarnie!
O! póki czarny żupan żywe członki ciśnie,
Wyschła ręka w potrzebie starą szablą błyśnie!
Lecz potem? Dumał miecznik i wzrok wodził hardy,
Pełen niechęci, gniewu, a może i wzgardy.

X.

Przy nim młoda niewiasta... czemuż, kiedy młoda
Tak zamglonym promieniem świeci jej uroda?
Ni ją ubiór udatny, ni ją stroją kwiaty;
Czarne oczy spuszczone, i żałobne szaty;
A w twarzy smutek... czoło, co schyla w cichości.
Którego całym blaskiem: uśmiech cierpliwości!
Lub jeśli kiedy nagle. pośród gęstych cieni,
Jaka myśl czy pamiątk... jej lica zrumieni,
To tak mdłem, bladem światłem, jak gdy księżyc
w pełni
Niezwykłem życiem rysy posągu napełni.

Piękna, szlachetna postać, do aniołów grona
Dążyła, ich czystości czarem otoczona:
Ale trawiący oddech światowych uniesień,
Owiał pąk młodych uczuć i zwarzył jak jesie
To jeszcze jest na drodze, gdzie nią wicher mi
W ciężkich kajdanach ziemi dla nieba istota:
Serce nosi uschnięte, a świeci jak zorza
Podobna do owoców umarłego morza (3),
Pod których śliczną farbą, śród trudu, mozoł
Podróżny widzi nektar, znajduje popioły.
Jakaś posępna słodycz w jej każdem ruszeni
Ani łzy, ani żalu, w jej mglistem spojrzeniu;
O nie! przeszłych już zgryzot nie widać tam woj
Tylko zniknłej nadziei grobowiec spokojny,
Tylko się lampa szczęścia w jej oczach paliła
I zgasła, i swym dymem całą twarz zaćmiła.

XI.

Przy nim młoda niewiasta nad księgą żywota.
Jak trwożna gołębica, pod jasności wrota
Wzbijała ducha wiary, i skrzydły drżącemi,
Szukała swego gniazda daleko od ziemi.
Aże nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory (4),
I drży nić którą serce do nieba związane,
To kropla słodkiej rosy upadła w jej ranę.
I wznosząc w górę oczy, z tym tkliwym wyraze
W którego jednym rzucie wszystkie czucia raz
Gdzie przyszłość do przeszłości po jasnym p
mieniu
Biegnie jak czuła siostra łączyć się w spojrze
I wznosząc w górę oczy, doznała, jak lubo,
Rozbłąkanej w swym żalu swego szczęścia zgu
Gdy już z ziemskich i chęci i strachu ochło
Tęsknić szlachetnej duszy do swojego źródła
Jak miło, by nie wadzić w światowym zamę
Zniknąć — na zawsze zniknąć pod śmierci obję

A ktoby widział wtedy jej twarz promienistą,
I smutnego miecznika duszę przejrzał czystą,
Te lipy rosochate, starodawne stroje,
Których dla wyobraźni tak przystoją kroje;
A ktoby widział jeszcze jak jasność i wonie
Męczeńskim wieńcem nagle oblekły im skronie,
Oh! może się przenosząc w odleglejsze wieki,
Świetniejsze okolice, kraj sławny, daleki,
Nad brzegami Jordanu, pod palmy drzewiną,
Usiadłby zamyślony z hebrajską rodziną:
I w spólnictwie niedoli czując trwogę świętą,
Poznał też samą rękę, wieczną, niepojętą,
Co swe łaski i kary zsyła lub odwleka:
Też zame zawsze troski wygnańca, człowieka.
Któremu nawet w szczęściu jeszcze czegoś trzeba,
I tylko wtenczas błogo, gdy westchnie do nieba!

XII.

„Ojcze! ja nazbyt długo, w miłych myśli kole,
„Obłąkałam się dzisiaj, a na twojem czole
„Ciemne następstwo zgryzot zawsze się przebija;
„A kiedy radość mignie, to zaraz i mija,
„Jak promyk co z obłoków na wyniosłe góry
„Błyśnie, i znów go skryją wiatrem gnane chmury.
„Oh! czemuż już nie spocznie twoja głowa siwa?
„Tu, na łonie; nic bój się, teraz żal nie spływa,
„Jak wtedy, coś w mych rękach usnął zmordowany
„I wstał, schylonej córki łzami zapłakany!
„Sroga nieszczęść igraszka, i tak zżółkły parość
„Popsutym karmił sokiem swego dębu starość;
„I tak zaparte czucia długiem uciśnieniem,
„Rwąc tamę mej rozwagi, lały się strumieniem.
„Ah! jakże to boleśnie nazad się obrócić,
„Widzieć rospacz grożącą, i nie módz się wrócić!
„Ah! jakże to okropnie w przymusie zostawać,
„Ręką co chce lekarstwo, truciznę podawać!

„Ojcze! drogi mój ojcze! czy już żadnej chwili,
„Nigdy ci twoja córka, nigdy nie umili?
„Gorzka jej była dola, ale to już przeszło!
„Patrz jakie słodkie światło we mnie się rozeszło,
„I uśmiech biega w twarzy niż kiedy zabawniej,
„I twój pragnie obudzić, jak w szczęściu, jak dawniej!
„Nieraz ja sobie wspomnę te dziecinne lata,
„Tak lube! tak ulotne! i mojego tata,
„Jak czasem zasępiony po trudach spoczywa:
„Aż raptem u dziewczynki wesołość się zrywa:
„I wciska mu się w serce, powoli, nieznacznie,
„Póki się nie rozjaśni, i śmiać się nie zacznie.
„I gdzież to się podziała tej dziewczynki władza?
„Pierwej zganiała chmury, a teraz sprowadza —
„I gdzież to żywy, czysty strumyczek upłynął?
„Mruczał na swą nikczemność, a w jeziorze zginął;
„A nasz śliczny kanarek gdzież to się obraca?
„Chiał w ogniu piórka złocić i więcej nie wraca.
„O! póki ten co w mojem na zawsze był sercu,
„Nim go moim nazwałam na ślubnym kobiercu,
„O! póki ten, co jemu w uczucia się wplatać,
„Brzmieć w szlachetnych pomysłach, w westchnieniach ulatać,
„W spojrzeniach czuć się światłem i życia potrzebą,
„Było więcej niż szczęście, było dla mnie niebo —
„Ten, co pączek tkliwego, lubego marzenia
„Rozwinął swoim wdziękiem, ocucił z uspienia,
„Pił jego świeżą rosę, a na jego kwiecie
„Zostawił łzę wdzięczności, której czas nie zmiecie —
„O! póki ten mój miły, ten świat mojej duszy,
„Łańcucha naszych węzłów swą wzgardą nie skruszy;
„Wierny zostanie cnocie, miłości, pamiątkom,
„A gdy znikł pałac szczęścia, wierny jego szczątkom;

„Jeszcze się dla mnie życia nie zamknęło wieko,
„Jeszcze myśl jego o mnie, chociaż on daleko,
„Płynąć będzie tajemnie w umarłe uczucia,
„I jak cudowny balsam bronić od zepsucia.
„I tę straszną ofiarę, i to rozdzielenie,
„Zniosę, cierpliwie zniosę, póki nasze cienie
„W słodkich, czystych krainach złączone na zawsze,
„Ludzi już nie zobaczą lecz niebo łaskawsze!"
Rzekła, i jak w stojącej a popsutej wodzie,
Wzruszone nagle męty osiadłe na spodzie,
Z serca jej wyszły czucia co w łzach długo mokły,
I zielonym odcieniem jej bladość powlokły.—
„Wolałbym dźwigać więzy u brodacza Turka,
„Niż żeby mi tak marnie więdnieć miała córka;
„Wolałbym w ciemnej turmie pewnej czekać zguby,
„Niżli patrzeć spokojnie na te smutne śluby:
„Alboż to naszej Polsce braknie na młodzieńcach,
„Co to pannom umieją wyskoczyć w rumieńcach,
„I tak jak dawniej było, rycerskie kolano
„Raz w życiu tylko ugiąć, po wianek, za wiano!
„Nie, Marjo! nie trza wzdychać, twego nie obrażam:
„Mężny jest i cnotliwy, wiesz że go poważam;
„Lecz mnie jego rodzica pycha niecierpliwi,
„A kiedy łzami Marji swoje serce żywi,
„Ha! toć i u mnie szabla nie czczym tylko blaskiem,
„I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem (5).
„Taż to u naszej szlachty dawne przywileje,
„Skrzesać ognia w pałasze gdy przyjaźń zciemnieje.
„Przyjaźń? a nasze hufy nie z sobą na sejmie;
„A nasze ‚veto' krzyczy jeszcze i w rozejmie!
„I gdyby kraju napaść, z hetmanem umowy,
„Nie rzuciły mnie w ówczas Szwedowi na głowy;
„I gdyby twoja matka (daj jej niebo panie!),
„W swe rańtuchy nie skryła młodych serc kochanie;

„A niewieścim w błyskotkach, tajemnicach smakiem,
„Nie zawarła tych związków z swych matron orszakiem,
„Nigdy by w moje kopce wróg się nie mógł schować,
„Anibym jego złości dozwolił grasować.
„Bo cóż to ja zastałem? żonę zmiotła kosa,
„A córę, szczep jedyny, z łez polewa rosa.
„Dla starej karabeli zbyt to wielkie dziwy,
„Znosić tak ciężkie razy, los tak obelżywy.
„Alboż choć raz do serca me dziecię przytulił?
„Alboż młodością, wdziękiem, choć raz się rozczulił?
„Nie! od domu, imienia, ze wzgardą odgania;
„I teraz w Rzymie szuka ślubów rozwiązania.
„O! co tak to najlepiej! i mnie to rozwiąże,
„Wysunie raźna młodzież, i ja za nią zdążę;
„Choć może mniejsi w liczbie, Boga w pomoc wezwą,
„To w końcu tej tam waśni dzwony się odezwą!—
Otarł znużone czoło, czapkę głębiej wmiesił.
Kiwnął ręką, i głowę czarnym myślom zwiesił.

XIII.

Za wrotami koń grzebie, a we wsi psów wrzawa:
Skąd to kozak przypędził że taka kurzawa?
I zsiada, i na płocie cugle zarzuciwszy,
Wchodzi w duży dziedziniec, wąsa poprawiwszy.
Na ogorzałej twarzy ostrych chwil wspomnienie.
Prosty był jego ukłon, krótkie pozdrowienie:
Jednak różnym się zdaje od służalców grona.
Poddany, lecz swobodę z ojca powziął łona.
I gdy dumnie pojrzawszy, do pana iść żąda,
Śród wiodącej go zgrai jak władca wygląda:
Zwinne jego obroty, kroki jego letsze,
Bo swoje członki wędził na stepowym wietrze,

A barania mu czapka, za każdem ruszeniem
Miga, gdyby chorągiew czerwonym płomieniem,
Pomiędzy chwast, zarośle, gdzie lipy z okopu
Są i cieniem i trwogą poziomemu chłopu,
Aż przed pana miecznika stawi się z orszakiem;
A koń rży, jak za matką tęskni za kozakiem!
„Czy masz pismo?“ — „Jest panie! i jeszcze list wczora
„Oddałby nim kur zapiał, bo świsnął z wieczora,
„Ale że czart na stepie tumany wyprawiał,
„To żeby was z jejmością bóg od złego zbawiał.“ —
„Że wasze mi z listami spóźnił się, to gorzej:
„Czyj kozak co się djabłów albo ludzi trwoży?“ —
— „Albož wam nie świadoma krasnych czapek sława,
„Co z rodu panom wierna? — czyj? — Grafa Wacława.“
Czyta miecznik, gdy w Marji ocknionem wejrzeniu,
Nie cześć tylko ciekawość, życie w przesileniu;
Jej łono podniesione w lekkiej pływa fali.
Co ją do szczęścia niesie, lub szturmem obali;
Jej lica płomień zajął, z pod serca zapory,
Pięknym, lecz przykrym blaskiem, jak suchot kolory.
„O kozaku i koniu niech mają staranie!
„Ja wraz listy odpisze, waszeć czekaj na nie.“
Na głośno grzmiące słowa słuch miał przytępiony;
Na śliczne, czarne oczy spojrzał rozczulony,
Skłonił nisko ichmościom, i cobądź się zdarzy
Kozak z służbą odchodząc, wesoło im gwarzy.

XIV.

„Niechaj kto z ludzi zgadnie! jeśli to nie zdrada,
„To mojej biednej Marji radość zapowiada.
„Pisze mi wojewoda w cukrowych wyrazach,
„Że mamy już zapomnieć o naszych urazach;

„Że żałuje za grzechy, nie tylko ogłasza
„Swój affekt dla synowej, ale w dom zaprasza:
„Więcej jeszcze! takiego jak mówi zamęścia
„Syn nie wart, bo zasługą trza się dobić szczęścia;
„Pragnie więc żeby wprzódy w wojennej potrzebie,
„Jakim rycerskim czynem stał się godnym ciebie;
„I gdy właśnie Tatarzy grasują w tej stronie,
„Jemu stawić się kazał w twych wdzięków obronie;
„A tak z laurem u czapki światu się pochwalić,
„Że tę co umie kochać, potrafi ocalić!
„Dziś ma tu z wojskiem ciągnąć.“ — „Dziś? ja go zobaczę?
„O Boże! jaka radość! jakże serce skacze!
„Ale na cóż te bitwy? czyż z twarzy wyrazu,
„Że śmiały i szlachetny nie widać od razu?“ —
„Jednak to rzadko ludzi jak pan wojewoda,
„Sam wyznaje się winnym; lecz mnie ciebie szkoda!“ —
„Ojcze! ja taka blada, on mnie się przerazi,
„Może się dużo zmartwi, może się obrazi.
„Trzaby się trochę przywdziać; jakże znajdujecie?
„Jabym chciała być jemu najpiękniejszą w świecie!“
— „Czekaj, czekaj, przed siecią nie złapiesz szczupaka;
„Może tu jeszcze przyjdzie zagrać nam w straszaka:
„Wszakże i ja Tatarów wypłoszyć stąd żądam,
„A dla czego wżdy siedzę? bo się wzad oglądam;
„Zobaczym tych rycerzy, mnie się wszystko roi,
„Że jakieś mataczyny wojewoda stroi.“
Ale już trąb w powietrzu rozlega się brzmienie;
Słychać zdala chrzęst zbrojnych, a ziemi jęczenie;
Już wyprzedziwszy hufce co w wolnej szły mierze,
Stanęli jacyś u wrót skwapliwsi rycerze.
„Wacław!“ krzyknęła Marja, i prędzej niż strzała,
Kirem okryta postać da niego leciała.

XV.

O! jakże szczęście ładnie, jak żywo oświeca
Młode szlachetne czoła a nadobne lica!
Jak w pogodnem spojrzeniu jaśniało wspaniale,
Wdzięczne serce młodzieńca w całej swojej chwale!
I na tle przeźroczystem pociechy rozlanej,
Słodkie sny przez nadzieję duszy kołysanej:
Mężny, wyniosły, miły, po niszczącej burzy,
Różowy blaskiem tęczy, co mu przyszłość wróży,
Z jakąż lubą roskoszą w każdej żyły biciu,
Ujął w spragnione ręce swój wdzięk cały w życiu!
Z jakże pyszną opieką tkliwe, drżące łono,
Skrytej, cichej pieszczoty utulił obroną!
Precz złocisty luzaku, weź tego rumaka,
By nie spłoszyć miłości pierzchliwego ptaka.
A ty panie mieczniku spocznij, moja rada —
Kręci się łza w twem oku i na wąsy spada.
To może już i w boju robi ci się ckliwo?
A Marja? ah! i Marja czuła się szczęśliwą,
Szczęściem niewiast, dla których słodkie w życiu
chwile,
Są jak pogodne niebo, gdy piorun grzmi w tyle!

XVI.

„No panie zięciu!“ miecznik z mokremi oczami,
Błyszcząc radością serca, mówił pod lipami:
„W tym widzę dzikim świecie wiatr pociechę
wodzi;
„A ledwo witać zdążysz, żegnać się przychodzi!
„Tą razą, nie na długo, mężnie się postawim,
„Ja moich także zbiorę, to się nie zabawim.
„Dobrze mówią, że twarda powinność rycerza,
„Kiedy mu zwłaszcza miłość wygląda z pancerza;
„Ależ po krótkim znoju, spokojnej swobody
„Użyć bezpieczniej można na wesołe gody.

„Skoro dom mój uczciło takie lube goście,
„I w kielich się uderzy, i nie będziem w poście.
„Marja niech się tymczasem w krzątaniu nie leni:
„Suto stoły zastawić, nie szczędzić korzeni (6),
„Pieprze, bobki, imbiry, cykaty, szafrany:
„Bo to ten piękny rycerz w bakaljach chowany.
„O winie ja pomyślę: i gdy w onym stawie,
„Słońce już błogi żywot zatopi jaskrawie,
„Jeśli mnie nie zawiodą moje przedsięwzięcia,
„Tatar rosę pić będzie: ja za zdrowie zięcia!
„Co teraz to was żegnam: po ciężkim frasunku,
„Milsza jeszcze pomyślność na cnoty kierunku!
„Ja ludziom oręż rozdam, siebie też przysłonię,
„Ale jak w trąby wrzasną, to zaraz na konie!"

XVII.

Poszedł: na świetnem, zimnem rycerza ramieniu
Sparta śliczna twarz blada, w piór łagodnym cieniu:
Czarne warkocze dźwięczą, bo w łusce pierś harda,
Giętką kibić nie ciśnie choć ściska dłoń twarda:
Stalowa odzież, w świecie i przyjaźń złośliwa:
Wdzięczne serce, to miłość na zbroi spoczywa.
O! jak z spłonionych liców, czułem, chciwem okiem
Patrzał w tę piękną postać pod smutku obłokiem!
Jakby powaby liczył! i znowu nie wierzy
Czy mu czas w jego skarbie nie zrobił kradzieży.
Nie, ten uroczy połysk co jej oczy krasi,
Nieznikomy, bo z duszy, chyba go śmierć zgasi:
Lecz gdy kir rycerz dostrzegł, i posępną radość,
Co przy żałobnej szacie aż ćmi przez swą bladość,
I słodki w górę uśmiech, boleści wdzięk cały;
I na tle czystem plamy, co łzy wymaczały:
Szczęście się jego prędko owlokło jej chmurą:
To słabszy, wietszy, bielszy, niż u czapki pióro.

„Gdym w stepowej i w dzikszej umysłu pustyni
„Lubił błądzić, aż pomrok przedmioty zasini;

„Nigdy mi żadna gwiazda nie błyszczała w ślady,
„A koń bił się do domu przez wicher i grady.
„Tyś dla mnie zeszła Marjo! i w brzasku mych myśli,
„Świetną drogę twe światło ku niebiosom kryśli;
„O! szczęśliw, pyszny, wdzięczny, że w zalotnem gronie,
„Czułość na mnie z ufnością śliczne sparła dłonie!
„O! błogi, że w twem sercu przez mokre źrenice,
„Życia, czucia, aniołów czytał tajemnice!
„Lecz czemuż ta mgła smutku, której ciężkiem tchnieniem
„Ja oddychał, i ciebie okryła swym cieniem?
„Czemuż we mnie tarń życia kolcami nie wrośnie?
„Tobie mdłym pachnąć kwiatem w krótkiej swojej wiośnie!
„I mnie wydarli wszystko, i więcej niż tobie,
„Ty do nieba należysz; ja się błąkał w grobie,
„A czarnem pędzon widmem, gdym jasność postradał,
„Byłbym świętym przedmiotom srogie ciosy zadał.
„Bo z panem wojewodą nie służy żartować,
„I raz dobywszy miecza, już go nie trza chować;
„Toby się ojców zamek był kurzył szeroko,
„I niejeden pokrewny oblewał posoką:
„Toby w sercu osiadły ten dym i ich cienie —
„Alebym Marji dopadł przez krew i płomienie!
„Nie drżyj! wszystko minęło, gdym ciebie zobaczył;
„Jeszcze pierwej, jak tylko, żeś moją, oświadczył,
„Tak mi tem jednem słowem serce usposobił,
„Jak gdyby mi nikt, nigdy, nic złego nie zrobił.
„To wziąwszy moją szablę, której blask odsłonię
„Nie prywacie, lecz twojej i kraju obronie;
„To wziąwszy mego konia, co nieraz w te niwy
„Tak szybko mnie unosił, jechałem szczęśliwy.
„Oh! z jakąż ja radością te lipy ujrzałem!
„Jakże ich chłodu dusza pragnęła z zapałem!

„Ty nie wiesz, ty, co umiesz bez chluby łzy koić,
„Co to jest dzikie serce do siebie przyswoić,
„Co tęsknić za dobrocią, a wdzięków żałować,
„W których wspomnieniu umysł chciałby istność
chować.
„Marjo! czyś ty nie chora? bo masz taką postać
„Jakbyś się do aniołów myślała już dostać:
„I w nowem udręczeniu, choć się tobą pieszczę,
„Prawie się spytać pragnę, czy mnie kochasz je-
szcze?“
— „Czy Marja ciebie kocha? mój drogi, mój miły,
„Więcej niż kochać wolno, i niż mogą siły;
„Więcej, niż wątłe serce, gdy jemu już zadość,
„Znieść umie tak niezmierną, niespodzianą radość;
„I gdyby nie Tatarzy, co mi w oczach błyszczą,
„I gdyby nie ich strzały, co mi w uszach świszczą,
„Tak mi lekko, tak słodko, tak mi nic nie trzeba,
„Jakbym w twojem objęciu leciała do nieba.
„Czy Marja ciebie kocha? pytaj się jej cienia,
„Czem dla Marji świat cały bez twego spojrzenia?
„Czem dla Marji świat przyszły, bez twego spo-
mnienia?
„Nieraz w zmysłów zamknięciu, nad tą dużą
księgą,
„Zniżona całem czuciem przed Stwórcy potęgą,
„Gdym chciała ciebie stłumić modlitwy pociechą,
„Zaraz mi brzmiało, jakby twego żalu echo!
„To może Panbóg skarze tak żywe kochanie,
„I tatarska ci strzała w serce się dostanie!
„Widzisz ten jasny promień, co z liści osnowy?
„Ciągnie swój drżący połysk między nasze głowy
„Ten promień żywi, zdobi, każdego weseli;
„Czemuż gdyśmy złączeni, on jeszcze nas dzieli?
„Próżno, próżno, mój luby! choć usta z ustami,
„Patrzaj, chyli się z liściem, i jest między nami.
„Ah! śród uniesień bitwy i zwycięstwa wrzawy,
„Przypomnij sobie drogi, że promień twej sławy

„Tak czysty, taki świetny, jak słonce na niebie,
„Jaskrawym swym wieczorem noc spuści na ciebie,
„Oh! niechaj pierwej Marję w ciemnościach zagrzebie!
„Nie prawdaż mój Wacławie? ty będziesz odważny,
„Stały, wytrwały, dzielny, ale i uważny:
„A gdy już moje oczy wdrążone zgryzotą,
„Długo patrząc w swój żywioł, swe życie rosplotą,
„Gdy serce wytchnie z trwogi przy piersiach bez stali,
„To może się na miłość Wacław nie pożali.
„Cieszyć się twą radością, twój smutek łagodzić,
„Nie myśleć, tylko o tem w czem tobie dogodzić,
„Być twoich chwil osłodą, czasem ich ozdobą,
„Żyć dla ciebie i w tobie, umierać przed tobą,
„I w tej ostatniej chwili, choć w cierpień natłoku,
„Gasnącym wzrokiem szczęście składać w twojem oku,
„A gdy niewolno z tobą żyć w twojej pamięci,
„To Marji cała miłość, wszystkie Marji chęci.
„Skoro mi szczęśliw wrócisz, mą harię nastroję,
„I przy blasku księżyca usiadłszy oboje,
„W tkliwej, smutnej, jak lubisz, unosząc się nucie,
„To co nikt nie wyraził, przywłaszczym uczucie.
„Ah! z jak okropną trąby zagrały żałobą!
„Oh! nie rzucaj mnie znowu! oh! zabierz mnie z sobą!"

XVIII.

Padła w drogie objęcie, i wygiętą kibić
Żal z taką drżącą trwogą do niego chciał przybić,
Taka mdłość w bladych licach, a śliczne ramiona
Tak go czule garnęły do słodkiego łona,
Że gdy z tych smutnych pieszczot wydzierał swą wolę,
Jakby je zrywał z serca, takie w niem czuł bole.

Nie, zostać niepodobna, chyba sławę skazić,
I zawdzięczając miłość na wstyd ją narazić!
Lecz, oh! jakże głęboka, jak posępna żałość,
W rospaczy swej kochanki hartować swą stałość!
Ani jej wszystkich wdzięków pożegnać był w stanie;
Ni czasu w marnych jękach przeciągać rozstanie;
Woła do chwały trąba, siwy wódz go czeka,
Burczą rospięte znaki, zwycięstwo ucieka.
Powstał, złożył swą lubę, dzikim ogniem błysnął,
Białą omdlałą rękę do ust swych przycisnął,
Jakby w jej szczupłe, gładkie, roskoszne ugięcie,
Chciał wrazić wszystkie czucia, w swych uczuć zamęcie.
Już odszedł, wziął spokojność, przed wzrokiem co czuwa,
Lśniącą, wyniosłą postać krok każdy usuwa:
Już w jego próżnem miejscu zadumana, blada,
Ciszę budząc westchnieniem, samotność usiada;
A na odłogu szczęścia, zgryzota korzeni
Swe kolczyste łodygi, robaczliwej rdzeni.

XIX.

Dosiadł bystrego konia, lecz troskę miał w oku
Młody Wacław, i w pierwszym osadził go skoku;
Dosiadł bystrego konia, lecz spojrzał wesoło
Stary miecznik, i w pędzie zawinął nim koło;
Za nimi brzmią puzany, za nimi, za nimi,
Zrywają się rycerze, jakby ptaki z ziemi:
Hasa szlachecka młodzież na wroga Tatara,
Sunie się towarzystwo, i w szeregach wiara,
Pancerni i usarze — za nimi kozaki,
I z spłoszonemi końmi harcują luzaki.
Patrzaj pyzate dziecię z pod słomianej strzechy,
Niech ci widok żołnierzy zaszczepia uśmiechy,

To może dziki owoc zerwie potem wojna;
A ty matko co kłaniasz, bądź zdrowa, spokojna,
Nie trwoż się szczękiem zbroi, długiemi dzidami,
Zapał polskiego wzroku ugasza się łzami.
Już we wsi tylko kurze, jeszcze słuch, łoskotem
Drga, dźwięcząc przygłuszony, i koni tupotem.
Już we wsi kurz osiada, jeszcze przerywanie,
Zdala wojennych rogów dolatuje granie.
I cicho, jak na sercu śmierć swój obraz kryśli;
I pusto, smutno, tęskno, jak u Marji w myśli.
Wzniosła swą lekką postać do góry, do góry,
Nic nie widać, tylko wiatr szare goni chmury:
Zniżają się kolana, proźba ręce składa,
Z oczu w niebo utkwionych kroplami żal spada;
I cicho, jak modlitwa w łono Boga płynie,
I pusto, smutno, tęskno, jak gdy szczęście minie.

PIEŚŃ II.

On Conrad's stricken soul exhaustion prest,
And stupor almost lulled it into rest.

Byron.

I.

„Bujno rośnie, odludnie kwiat stepowy ginie;
„I wzrok daleko, próżno, błądzi po równinie;
„A w niezbędnej zgryzocie jeśli chcesz osłody,
„Chmurne na polu niebo, i cierpkie jagody.
„Idź raczej w pięknie mirtów i cyprysów kraje;
„Codzień w weselnej szacie u nich słońce wstaje;
„U nich w czystem powietrzu jaśniejsze wejrzenie,
„I głosy rospieszczone, i roskoszne tchnienie.
„U nich wawrzyny rosną, i niebo pogodne,
„I ziemia ubarwiona, i myśli swobodne.
„A na kształtnych budowlach, męże wieków dawnych
„Stoją w bieli, i pyszni z swoich imion sławnych,
„Zapraszają zdaleka w czarowne zwaliska,
„Bogów i bohatyrów, pająków siedliska.
„Tam, jeśli dawnych rzeczy myśl w tobie głęboko,
„Może w ten śliczny błękit wpatrzywszy twe oko,

„Słodycz w rospaczy znajdziesz, i lubość w żałobie.
„Jak uśmiech ust kochanych w śmiertelnej chorobie;
„Ale na pola nie chodź, gdy serce zbolało
„Na równinie mogiły; więcej nie zostało,
„Resztę wiatr ukraiński rozdmuchał do znaku,
„To siedź w domu, i słuchaj dumek o kozaku. —

„Moje młode pacholę gdzież to ty wędrujesz?
„Czy z ziemi świętej wracasz, że tak utyskujesz?"

— „Oh! nie, ja wszystkim obcy śród mojej ojczyzny,
„I śmierć mi zostawiła czarne w piersiach blizny.
„I świata jadłem gorzkie, zatrute kołacze —
„To mnie ciężko na sercu, i ja sobie płaczę.
„A kiedy się rozśmieję, to jak za pokutę;
„A kiedy będę śpiewał, to na smutną nutę;
„Bo w mojej zwiędłej twarzy zamieszkała bladość,
„Bo w mej zdziczałej duszy wypleniono radość,
„Bo wpływ mego anioła grób w blasku zobaczy."
„To czegoż chcesz pacholę?" — „„Uciec od rospaczy."

II.

tało młode pacholę, pod płotem zostało.
Na smutek co się skarży uważają mało,
A ten co z niem rozmawiał na wrotach oparty,
Wyszczerzył w inną stronę wzrok cały otwarty,
Skąd w różnofarbnych strojach, huczne czyniąc wrzaski,
Niespodzianym orszakiem, zbliżały się maski.

1.

„Czy znasz weneckie zapusty?
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie;
„Maska twarz kryje, a kto się pyta
„O sprawy czyje, tego przywita
„Wrzawa, śmiech pusty.
„Żywo, radośnie,
„Skrycie, miłośnie,
„Staruszek doża, arlekin młody,
„Dziewczyna hoża, szuka osłody;
„Matrony, ... , oszusty,
„Swobody:
„A kryte łodzie
„Czernią na wodzie.
„Wrzawa, śmiech pusty —
„Czy znasz weneckie zapusty?

2.

„My sobie jedziem kulikiem:
„I w noc, i we dnie,
„Wesołe, szalone, przednie:
„Maska nas kryje, a kto chce wiedzieć
„Skąd my i czyje? To odpowiedzieć
„Śmiechem i krzykiem.
„Szczera ochota
„Otwiera wrota;
„Bo krakowianki, i pielgrzym stary;
„Żydzi, cyganki, uderzą w pary;
„Wróżki, djabli, nie oszusty,
„W puhary.
„Lecim saniami,
„I jadą z nami,
„Wrzawa, śmiech pusty —
„Czy znasz ty polskie zapusty?"

— „Ale tu wejść nie można, teraz nie zapusty,
„Pan miecznik na Tatarach, to i dworzec pusty.“
Tak stary sługa wstrzymał tych przychodniów śmiałość:
I znów rosparł na wrotach niewzruszoną stałość.
Lecz gdy grać, śpiewać, piszczeć, grzechotki potrząsać,
Poczęły wszystkie larwy, a nogami pląsać;
I łączyć obce stroje, papierowe czoła,
Wzrok żywy, rysy martwe, w migające koła!
I farby, blaski, cienie rozwijać w połocie;
I skoczno, zwinno, huczno rzucać się w obrocie:
Tak mu w szumiącej głowie myśl wzięła tańcować,
Że patrzał, a nie wiedział, jak się pomiarkować:
Śmiał się z żydów, cyganek: bał wróżek z djabłami;
I chciwie łapał ruchy, i mrużył oczami.
A maski przed nim skacząc mijały się żwawo,
A maski w nim ciekawość syciły obawą.
Aż wykrojone usta zadmuchawszy w rogi,
Opuściły się ręce, zatrzymały nogi,
I głosy ostre, fletni umilone wtórem,
Wrzasnęły tę piosneczkę niedobranym chórem.

„Ah! na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy się troski do duszy wkradną,
„Hucząc w niej chmury czarnemi;
„A gdy nieszczęścia na kogo spadną;
„I postać wzniosłą, szlachetną, ładną,
„Smutek nachyli ku ziemi;
„O! niech na chwilę złość się już schowa,
„Rany sztyletem nie cuci...
„Niech choć przy zgonie zabrzmią te słowa;
„Wróci spokojność, wróci!

„Bo na tym świecie śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„Albo gdy nieba cud nad chorobą,
„Gołąb, od przekleństw odleci —
„I wiedzę życia zabierze z sobą,
„A wyschłe lica nadmie żałobą,
„Wprzód nim gromnica zaświeci;
„Niech nikt, by uspić zgonu boleści,
„Tryumfu pieśni nie nuci . . .
„Chyba te słowa w końcu umieści:
„Wróci twój aniol, wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto chętny w drugich obronie,
„I sam się w przepaść zagrzebie,
„Krótka stąd radość w zawiści łonie:
„Choć złe i dobre w grubej zasłonie,
„Sąd ostateczny jest w niebie;
„Może w kłopocie, i silna głowa
„Posępnie kiedy się rzuci . . .
„Niech z ust życzliwych brzmią wtedy słowa:
„Wróci wesołość, wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.

„A gdy kto dążąc z dalekiej drogi,
„W mieszkanie przyjaźni zajdzie,
„I już w uściskach topić ma trwogi:
„Lecz ciche, puste przebiegłszy progi,
„Twarzy, kochanej nie znajdzie:
„Wię-c drżąc, czy się co złego nie dowie,
„Spuszczone czoło zasmuci . . .
„Niech choć gościnność kręcąc się powie:
„Wróci gospodarz, wróci!

„Bo na tym świecie, śmierć wszystko zmiecie,
„Robak się lęgnie i w bujnym kwiecie.“

„Ha! Panbóg święty z wami! jeśliście nie duchy.
„To wasze pstre maszkarki wesołej otuchy;
„Alboż to nam pierszyna? wszak nieraz huligi
„Po całych tu miesiącach skakały jak frygi:
„Prosim, jegomość wróci, a choć nie jest w domu,
„Na winie i pierzynie nie braknie nikomu.“
Weszły, nisko kłaniają, w parach się prowadzą,
Obzierają się w koło, i kupią i radzą.

III.

Słońce już wówczes łuk swój zbiegając szeroki,
Czerwonym blaskiem szare barwiło obłoki;
A żółtem drgając światłem po ziemi i wodzie,
Na swym bogatym tronie płonęło w zachodzie.
Już jego pełne dziwów nie razi spojrzenie,
Lecz łagodne, widome, rozsiewa promienie;
I w krótkiem pożegnaniu, nim w głąb się zagrzebie,
Śmiertelnym oczom patrzeć pozwala na siebie.
Jeszcze, w chwili ostatniej nie znika z pośpiechem,
By wszystkie twory życia napoić uśmiechem:
Jeszcze wziera przez szyby w mieszkanie człowieka,
Jak wzrok tęsknej przyjaźni co w podróż ucieka:
I purpurowe szaty rzuciwszy na chmury,
Nurza swe czyste łono w tajniki natury —
Gdy noc, zazdrosnym palcem ścierając dnia ślady,
Ciemny płaszcz wlecze z tyłu, dla zbrodni i zdrady.

Lecz gdzież bawi pan miecznik? Właśnie to jest pora,
W której przyrzekł po bitwie wziąść się do gąsiora;
I miał żywej radości w sercu nie uchować,
Dom zebrać, córę szczęścić, bo zięcia częstować:
I piękna mu gromada przybyła w gościnę.
Jakąż niewczesnej zwłoki może dać przyczynę?

IV.

Od chwili, co zwycięstwa odkryła się meta —
Od chwili, co w niej dosiadł żartkiego dzianeta —
Od chwili, w której trąby, w wszystkie jego żyły
Głosem dzielnej przeszłości jak grom uderzyły;
I widział raźną młodzież, i słyszał chrzęst broni,
Trzask goleń, szum proporców, a chrapanie koni;
I dążąc w drużbie z zięciem, gdzie im sława świeci,
Czuł to co stary orzeł, gdy pisklę z nim leci.
Od chwili co mu w myśli, wstecznym kręcąc bie-
giem,
Tatarskie zbrodnie krwawym stanęły szeregiem,
Hardość w zmarszczonem czole, ogień był w źre-
nicy,
Czapka na lewem uchu, zniszczenie w prawicy,
Gdy chciwa walek dusza przeraźliwie wtrząsa
Każdy włos najeżony u siwego wąsa.
Jak tylko wyszli za wieś, mieczem z pochew
świsnął:
I wzrokiem, coby tchórza do ziemi przycisnął,
W bitne hufce patrząjąc, że aż serce rośnie,
Do uważnego słuchu zawołał donośnie.
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!
„Wiem żeście spaść na wrogów jak piorun gotowi;
„A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca (7),
„A ktoby życie szczędził srogiego pohańca.
„Niech mi tu precz na szkapie do domu wyskoczy,
„Bo bym mu potym kordem zamalował oczy!
„To szybko, łącznie, śmiało, strzałki wystrzelają,
„Bóg wiara, ufność szabla, i łby pospadają,
„Jak kłosy, co to niby migocą się świetnie.
„Nazajutrz leżą zwiędłe, gdy kosa je zetnie.
„Ale nikt nie potrafi jeść kaszy spokojnie,
„Jeśli wybić szarańczy nie umie na wojnie:
„To cicho, bacznie, mądrze, aż gdy huknie w trąbie,
„Wpaść obces, i pokazać że to Polak rąbie;

„Wtedy dopiero każdy niech mi ryb nałowi.
„Panowie szlachta! miejscy! bracia szeregowi!“

Potym jadący szłapią z swoim zięciem w parze,
Naradzał się po cichu w wojennym zamiarze;
Mówił szpiegów wywiadki; tłumaczył jak, kędy,
Sił wzajemnych w natarciu połączyć zapędy:
Jak korzystać z zwycięstwa; w przypadku odporu,
Jak używać na pogrom ucieczki pozoru.
Słuchał zajęty Wacław, gdy ręka i głowa,
I każdy rys miecznika, popierały słowa:
Rzekłbyś, patrząc w ich obraz, że sztuka malarza
Z dobranych przeciwności czarowną myśl stwarza;
Żywość w starcu, w młodzieńcu rozwagę wyraża.

V.

Tymczasem wieś minąwszy, z bitej schodząc drogi,
Coraz się, coraz głębiej wpędzali w odłogi:
Gdzie wiatr ziarna zasiewa, czas płody przewraca,
Nie zbiera plonu chciwość, ni schyla się praca:
Samotne, ciche, błogie, dziewicze ich wdzięki,
Kwitną skrycie, od człeka nieskażone ręki,
Niebo je obejmuje, gdy w całym przestworze
Rozfarbionej żyzności rozciąga się morze.
Tam wódz stary, jak żeglarz, podług biegu słońca,
Szybował swojem wojskiem w kierunku bez końca.
Łamią się rosłe trawy, krzą chwasty, a zioła
Składają pod kopyta balsamiczne czoła:
Ale przez siwe wąsy nie przechodzą wonie,
Ni lubość tchu słodkiego w groźnem biega łonie;
Wojna, wojna zajmuje wszystkie jego władze,
Cześć prochom pól ojczystych, zemsta ich zniewadze!
Ani się wwieść dozwolił w fałszywe zapędy
Gdy zszedł tatarskich śladów kręcone obłędy,
Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki (8).

Lecz w poprzek przerzynając ich sztuczne drożyny,
Uśmiechnął się, jak strzelec gdy pewny zwierzyny.
Wkrótce, złączone hufce, w umyślnym fortelu,
Rozdzielił na dwie części, dla jednego celu:
Do zostających czapką kiwnął pożegnanie:
Z swojemi, w bok się rzucił na niezmiernym łanie;
A kryjąc się w bodiaków rozkwitłych ogromie,
Już rycerze bez koni w czerwonym poziomie,
Już popiersia wędrują na skrwawionym spodzie,
Już kołpaki, proporce, już znikli jak w wodzie!

VI.

I Wacław, pan wszechwładny, śród stepów przestrzeni
Sam buja w swojej woli, czegoż tak się mieni?
I Wacław dziki, mężny, śród dzikiej natury
Wiedzie hufce do chwały, czegoż tak ponury?
Śpiewa mu głośno wicher, a Wacław w nim nieraz
Lubił kąpać swe oczy, czemu spuszcza teraz?
Smutny on, zamyślony, choć pełen ochoty.
Nie spojrzał nawet jeszcze w swoje wierne roty,
A dla czego? sam nie wie, tylko że mu sława,
Łzami Marji spłakana, przed oczami stawa:
Tylko że jego serce w takiem nagle drżeniu,
Jakby kto kir przeciągnął w śpiącego ocknieniu
I w strachu go zostawił, w trosce i zdziwieniu.
Szybkim głowy pomiotem strząsnął złote włosy,
Jakby się pozbyć starał zimnej na nich rosy;
Szybkiej konia w wyskoku przychylił się woli,
Jakby ulecieć pragnął od swojej niedoli;
A w jego mglistych oczach taki blask w tej chwili,
Jak kiedy dusza czucia najżywsze przesili,
I wszystkie razem smutki w zwycięstwie rozżarzy
Światłem nieśmiertelności na śmiertelnej twarzy.
To jakiekolwiek myśli, wspomnienia, czy trwogi,
Żal, słabość, czy widziadła zbijały go z drogi;

To jakiekolwiek losy zwalczą jego czynność;
Już teraz miłośnicą, rycerska powinność!
Czy duch złego, co ludziom nadziei zazdrości,
Odchylił mu przez chwilę zasłonę przyszłości?
Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem? (9)
Może on w boju legnie? Cobądź mu przypadnie,
Jego umysł, ni szabla, nie ulęże snadnie;
A chociaż śmierci oddech mgłą oczy zasłoni,
Rdzy nie będzie na sercu, ni na jego broni.
I jak wstrzymany potok w swoim bystrym pędzie,
Dno porze, i rozwala łożyska krawędzie;
I jako rumak z pęta gdy lot swój rozwija,
Rwie ziemię, ogień ciska, i wiatry wymija;
Tak Wacław niecofnięty w swym ciemnym zawodzie,
Rozdarłszy tło przyszłości, co mu na przeszkodzie,
Tem chciwiej, tem gwałtowniej, na sztych się wydziera,
Groźnym pewności wzrokiem w swój oręż poziera:
A jednak, głos straszliwy, choć spojrzenie dumne,
Brzmi w całem jego ciele: „Zdobędziesz ty trumnę!“

VII.

Jest trosków, kolców, bolów niemało w tem życiu;
I więcej niż na jawie, płynie łez w ukryciu;
A kto się hucznym śmiechem śród jęków odzywa,
Jak szalony w szpitalu, szczęsnym się nazywa.
Lecz gdy umysł szlachetnej uległszy ponęcie,
Z gruzów najdroższych uczuć wznosząc przedsięwzięcie,
Brnie w zdradliwej ufności, a za każdym krokiem
Podkopanych przepaści otoczon widokiem,
Gdy ptak z karmem pisklęcia trzepoce swe skrzydła,
Widzi chłopię z pałeczką, a na szponach sidła,

Gdy sroższej od najsroższych wpatrując się męce,
Sama nawet odwaga załamuje ręce,
A z tysiąca blizn czarnych co jej w sercu cięży,
Gniazdo syczących na świat wylega się węży:
Gdy złość w swojem szaleństwie zrobiła zabawę,
Wydrzeć życie w kaduku, ale pierwej sławę,
I nie tylko obecność tarza się w ohydzie.
Przyszłość jeszcze otruta, rozczochrana idzie:
Komu? anielskiej duszy, co za to przeklęta,
Że cukrem przyjmowała drapieżne zwierzęta,
Gdy każdy dobry przymiot w gorzki żal się zmienia:
Większe to niźli ziemskie, piekielne cierpienia!

Czy te, lub inne jeszcze dotkliwsze katusze,
Zlały swój wrzący ukrop na młodzieńca duszę;
Ci, co za nim rzędami w lśniącej gonią fali,
Na smutek swego wodza niewiele zważali:
Każdy myślał, i chociaż różnica w sposobie,
W tem przecież podobieństwo, że każdy o sobie;
A jednak każdy gotów, z wzniesionem żelazem
Rzucić się w ciennik śmierci za jednym roskazem.
Szli w milczeniu, w porządku, konie koniom w tropy
Krzyżujących nóg stawiąc migające stopy,
Kędy ich długim sznurem, wedle swojej chęci,
Po odludnych manowcach młody Wacław kręci;
Przez niezmierzone niwy, tam gdzie już równina
Zda się kończyć, i znów się w płaszczyznę zagina,
Dochodząc, naprzeciwko jasnego obłoku,
Jak rycerze powietrzni wydali się oku.
Lecz cóż widać na wzgórku? Z bliskiego rozdołu,
Kłęby dymu z iskrami buchają pospołu,
Wiją olbrzymie słupy, co zgięte u góry
W ciężkie, czarne, skrwawione, rozchodzą się chmury.

Lecz cóż słychać na wzgórku? w przyległej nizinie,
Płacz, jęki, krzyk rospaczy, w słomianej dziedzinie,
Co biorąc serce w kręgi przeraźliwem brzmieniem,
Nawet pierś w stal oprawną podnoszą westchnieniem.
„Baczność, do broni wiara, chorągiew rozwinąć,
„Tatarzy wieś rabują, zwyciężyć lub zginąć!“
I nagle jak wodostok, rycerze zajadli
Z błyszczącym szumem z góry na dolinę wpadli.
Tak pożar z rąk łupieżców wieś całą ochłonął,
Gdy lud zlękły, bezbronny, w krwi i łzach utonął.
Lecz nie czas koić boleść ni mienie ratować,
Lub pojedynczo z wrogiem o zdobycz harcować,
Bo już, przez swoje czaty, ich han ostrzeżony,
Zebrał znaczniejsze hordy w taniec ulubiony:
Tam za wsią stoją, całe zakrywają pole;
Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole (10).
Widzi ich dobrze Wacław; ale razem zważa
Że napad uchybiony na zgubę naraża.
Jak się cofnąć przez ogień? Ej! któż zdoła minąć
Co mu niebo przeznaczy — zwyciężyć czy zginąć?
„Czyja wola to za mną!“ rzekł, i spiął rumaka,
Co nim się rzucił w pożar, żżyma się i skaka —
Mniej ów niżli graf Wacław odważny i dziki.
Jakżeby wodza polskie odstąpiły szyki!
To i oni w płomienie, śród blasku pożogi,
Przez głownie i zarzewia szukają swej drogi.
Już za wsią, i wraz szybko, sfornie, lekko, śmiało,
Rozwinęło się wojsko i w linji ostało:
Zagrzmiały wszystkie trąby jednym strasznym dźwiękiem,
Porwały się kopyta z jednym głośnym brzękiem,
A prychające konie i schylone ciała
Jednym pędem uniosła i zemsta i chwała.

IX.

Dzielne było natarcie: tatarskie szwadrony,
Ich księżyce, buńczuki z końskiemi ogony,
Ich futra wywrócone, ogromne ich łuki,
Płeć śniada, wąsy zwisłe a czarne jak kruki,
Ich nasępione rysy, przymrużone oczy,
W których snie srogość zwierząt z ludzką się jednoczy,
Cały ten widok wreszcie w dzikość okazały,
Pożar, stepy w około, świszczące już strzały,
Żadnego, albo raczej jak z bodźców odzienie,
Takie na czuciach polskich zrobiły wrażenie.
Pędem burzy lecieli; lecz nim przyszło zbliska,
Ludziom ostrza się dotknąć, koniom, pyskiem pyska,
Gdy w półobręcz wpadali, wsławionem prawidłem,
Skrzydło tatarskie z tyłu zbiegało się z skrzydłem:
„Ałła hu!“ wrzasły hordy, i tysiączne roty,
Na opasanych, strute wypuściły groty.
„Hura!“ krzyknęła wiara, i lotem sokoła
Chmurę strzał przeszywała w środku tego koła.
Dochodzą, już dochodzą, zbitym w rzędy tłumem,
Lasem dzid najeżonych, z hukiem, z trzaskiem, z szumem:
Szczęk, krzyk, jęk, łoskot, wrzawa, powstał kurz, a ściana
Przebitych bisurmanów wali się złamana.
Tratują ludzi konie; koncerze, kopije,
Kolą pod kopytami niewiernych jak żmije:
Zapał głowy ogarnął; stal błyska, krew broczy;
Śmierć trudzi się, zdmuchując wywrócone oczy!
Wszystko to chwilę trwało, bo z boków i w tyle,
Barbarzyńcy nastają w niezliczonej sile:
Czas ginąć hufcom polskim; młody wódz je zbiera,
Zachęca ich, szykuje, obraca, naciera,

Dopiero mięszanina, każdy obskoczony,
Wirem męstwa na wszystkie wywija się strony,
Rąbie, sili, morduje, z nieprzebraną zgrają,
Jeden dziesięciu zwalczył, krocie nań wpadają.
Stek zawziętego mnóstwa, okropne ich wrzaski,
Tuman zewsząd, a mieczów latających blaski!

X.

W natłoku wrogów, co go od swoich oddziela,
Sam, bez wsparcia, nadziei, świadka, przyjaciela,
Walczył ponury Wacław, i walczył już o to,
Żeby życia co cięży nie oddać z sromotą,
Śmierć miotał śmierci pragnąc, oh! bo w serca głębi,
Pisk taki jak gołębia pod dziobem jastrzębi,
Harmonją jego myśli: lecz czy to z zdziwienia,
Czy z strachu, czy też skutkiem dzielnego ramienia,
Ściskająca go w węzeł niezliczona tłuszcza,
Coraz to w większą przestrzeń przed nim się rospuszcza;
Widzą, poznają wodza, i każdy koleją.
Rzuci się, zmięsza, zginie; zwyciężyć nie śmieją.
I gdy błękitnem okiem rospoznał młodzieniec,
Cofający się przed nim nieprzyjaciół wieniec;
Smutku tylko doświadczył z tej dziwnej korzyści,
Że już jego przeczucie na nim się nie ziści.
Czemuż choć jednej strzały nie mieli w kołczanie,
Coby jadem (11) jaszczurki utkwiła się w ranie?
Żal mu że już uchodzą, życia się obawia.
Goni ich srogie dusze, piersi im nadstawia!
Zaraz! zaraz! otyły, brunatno-czerwony,
Han tatarski tam wpada wściekłością spieniony;
Postrzegł, że jego hordy jakaś moc zwycięża,
Postrzega, że to męstwo samotnego męża;
Targa kłaczystą brodę, z rospaczy w ohydzie,
Gębę krzykiem rozdziawia; o zgrozo! o wstydzie!
Na jednego tysiące, z zmarszczoną powieką,
Miecze wznoszą, już lecą, rozsieką! rozsieką!

XI.

Jakież to grały trąby za przyległym lasem?
Jakież to świeże hufy cwałują z hałasem?
Jakiż to nowy rycerz, krzyżowym zamachem
Drogę sobie toruje śmiercią i przestrachem?
Koń ledwo ziemi tyka; włosy rzadkie, siwe,
Wiatr z światłem rozwijają jak komety grzywę;
A w pływających ruchach, w wydatnej postawie,
Szparko bieżący pośpiech o szybkość w obawie.
Jak lwica opuściwszy swoje lwiątko, skoczy
Zajadłem męstwem, gdy je wpośród ludzi zoczy:
Jak matka, o wygnańcu straciwszy nadzieję,
Gdy ujrzy swoje dziecię, w radości topnieje,
Z takiem zmięszanem czuciem i matki i lwicy,
Z kordem świecącym w ręku, z lotem błyskawicy,
Zdziwionym, zlękłym oczom gdyby jakiej mary,
Obok swojego zięcia, miecznik stanął stary.
Jego hufce tuż za nim; jego przywitanie,
Tobie należy najprzód napuszony hanie!
Lecą obces na siebie. Polacy, Tatarzy
W bezczynnem zachwyceniu patrzą co się zdarzy.
Jakiś czas miecznik żmudził; uderzy, odskoczy,
I znowu w całym pędzie przeciwnika tłoczy;
Aż wybrawszy swą porę, w odwet, silnym razem,
W kark niewierny święconem utopił żelazem.
Spada dzielnym zamachem odmieciona głowa,
Drga oczami, bełkoce niepojęte słowa.
Toczy się, ziewa, blednie, i gaśnie —. Z tułupa,
Co siedzi niewzruszony, krew do góry chlupa!
Powstał krzyk przeraźliwy: pierzchają; koń hana
Ucieka między hordy z trupem swego pana.
Strach przejął barbarzyńców: grzmią trąby, rzeź
Nowi rycerze gonią, dawni się zbiegają, [grają,
Trzask, iskry, świst z połyskiem, huk, wrzask,
jęki, rżenie,
A zapylona sława upięknia zniszczenie.

XII.

Krótko już trwała walka, wielu oręż składa,
Więcej legło, płochliwych straż tylna dopada.
Na stratowanej ziemi płyną krwi potoki,
Leżą polskie, kozackie i tatarskie zwłoki:
Jak który upadł tak mu zostać już niewola,
Dusze k'niebu, ich konie rozbiegły się w pola.
Opodal od nich w kurzu kołpaki, turbany,
Tylko miecz wierny przy nich posoką zbryzgany.
O! ty, co twój byt zawisł od współbraci męstwa,
Pójdź słyszeć radość wojny i krzyki zwycięstwa!
Zobacz, jak wpośród trupów co już robak wierci,
Wąsate twarze sobie winszują ich śmierci,
I nasępione czoła rozwidniają śmiechem,
Co w swym hucznym odgłosie jakby gromu echem!
Chodź, nie drżyj; stanąć przy nich każdemu zaszczytnie,
Krwią wrogów zlana śmiałość tak bujnie w nich kwitnie!
A jeśli w tobie budzi życia poświęcenie
Za kraj swój, za swych ziomków, tylko strachu drżenie;
Jeślibyś wszystko za nich nie oddał w potrzebie;
Opatrz się dobrze wewnątrz, to zlękniesz się siebie.
Chodź do stalowych piersi twój kaftan wełniany,
Przyciśnij z wdzięcznem sercem, i całuj ich rany.

XIII.

Był wzgórek z brzegu lasu, zielenił swe czoło,
I zapach macierzanki rozsyłał w około;
Na nim, schylone brzozy, w swej białej odzieży,
Płakały, gdy warkocze wietrzyk pieścił świeży,
Jak cienie dawnych dziewic przy kościach rycerzy.
Tam, pod ich snem mroczące balsamiczne wieńce,
Ściągnęli na spoczynek zwycięscy i jeńce;

Bo w życiu choć ta jedność, że roskocz z cierpieniem,
Trud, nuda, wstyd i sława, kończą się znużeniem.
Z przodu, gasnący pożar, jeszcze czasem ciska
Nagłym, śmiertelnym blaskiem, na plac bojowiska;
Z tyłu słońce już wówczas schowane za borem,
Palącego się lasu dziwiło pozorem:
Szarzały wszystkie farby, kruki gromadami
Zlatywały się krążąc, wrzeszcząc nad trupami.
Czaty porozstawiane, przy ogniskach wrzawa
Migających się ludzi, w końskich zębach trawa
Jak chrzęst odległych zbroi, a jak orzeł biały,
Siwy, stary pan miecznik, ale pełen chwały,
Chłodząc odkrytą głowę pod brzozą tam siedział,
I ponuremu zięciu te słowa powiedział.
„Synu! bo kiedyś z sercem połączon tak blisko
„I masz w niem miejsce syna, miejże i nazwisko!
„Dziś jakby wszystko wite na szczęśliwej nici;
„Nasz Wacław powrócony, Tatarzy pobici,
„Spokojna Ukraina, bogdaj na czas długi,
„Fortuny to szczodroty nad moje zasługi.
„Lecz kiedy dusza zda się dzierży czego żąda,
„Coś wasze na zwycięscę smutnie mi wygląda?
„Patrz no, jakże ci pięknie księżyc oto wschodzi,
„Zadość sławie, i sercu stolgować się godzi:
„Siadaj na koń, śpiesz wesoł, kędy szczera żona,
„I wierna wam drużyna przyjmieć utęskniona;
„Ja tu objażdżki dojrzę, a jutro ze świtem
„Brzęknę wam na dobrydzień witanem kopytem.
„Siadaj, twój dzielny rumak prędko cię dostawi;
„Bądź zdrów! niech ci bóg zawsze jak ja błogosławi!"

XIV.

Powstał z pośpiechem Wacław, i dawnym zwyczajem
Uścisnął starą rękę, co jemu nawzajem

Szorstkie, silne, lecz szczere oddała ściśnienie;
I już bystry koń z jeźdźcem przesadza drzewcienie.
A stary miecznik wziął się do zwykłych pacierzy.
O! jak ślicznie przez pole młody Wacław bieży!
Srebrny pobłysk na włosach, na piórach, a w zbroi
Twarz ogromna księżyca malutka się dwoi.
O! jak ślicznie wśród ciszy w naturze rozlanej,
Lecieć z stęsknionem sercem do swojej kochanej!
I każdy przedmiot witać z przychylną pamięcią;
I wszystkie je wyścigać nieścignioną chęcią!
Wtedy to słodkie tony brzmiące przerywanie,
Śpiew słowika, szmer wody i żab skrzekotanie,
W dzikiej, tęsknej i żywej i tkliwej muzyce,
Mówią ocknionym czuciom swoje tajemnice;
Wtedy to luby zapach, co kwiatów ulata,
Lekkiem tchnieniem roskoszy mgłę trosków odmiata,
I dusza rozjaśniona, jakby ujście miała
W niebiosa swego Twórcy, z kajdan swego ciała.
Wtedy matką natura, wszystko z człekiem dzieli,
I wszystko się uśmiecha, i wszystko weseli:
Wtedy w schowanej szabli uraz zapomnienie,
W pysznem spojrzeniu dobroć, w ustach przebaczenie.
I tak to leciał Wacław, błogi — gdyby nagle
Piorun rozdarł w tej chwili jego życia żagle,
Bo by nim wicher świata miotać nie był w sile,
Chyba by szumiał wściekły po zimnej mogile —
I tak to mijał stepy, lecz świetne marzenie,
Co niem ćmi dzieci ziemi szczęścia upojenie,
Oh! zbyt krótkie! jak widmo wstaje przypomnienie;
I budzi martwą przeszłość, i w wonne kotary
Szepcą dreszcz i niepokój zgromadzone mary.
-Tak ją mdłą, słabą widział; a wszak bez obrony
-Więdnie pieszczotny powój, a wszak bez osłony

„Nie trwa tu słodki owoc, i cóż? ledwo wrócił,
„Ujrzał swój raj stracony, i zaraz porzucił!
„Dla czego? dla czczej sławy, której blask nie waży
„Jednego uśmiechnienia ukochanej twarzy.
„Gdybyż przynajmniej w los swój wierzyć miał powody:
„Lecz ledwo burza przeszła, już pewny pogody,
„Niepomny jak to gorzko czas zgryzotą liczyć,
„Płochy, wydarł się szczęściu co mógł odziedziczyć."
Ah! dalej! prędzej! lekko przez chwasty i rowy
Sunie koń wyciągnięty, a brzękiem podkowy,
Hukiem pędu, błyszczącą postacią rycerza,
Ocknionego wieśniaka pierwszą myśl uderza;
„Ha! ha! nim otarł oczy i serca mógł dowieść,
Znikł rycerz — i zostawił o upiorach powieść.
I tak to leciał Wacław, szczęśliw, trwożny razem,
Śliczny, straszny — był wiernym śmiertelnych obrazem.

XV.

Do wrót wreszcie koń doparł swe piersi spienione;
I zarżał, nozdrza chłodząc, to w tę, to w tę stronę,
Lecz chociaż księżyc jasny, nie widać nikogo;
Ni giermek do strzemienia szybką skoczył nogą.
„Musi być bardzo późno, niech śpią, trosk nie czując."
Tak myślał młody Wacław konia przywiązując;
I z tą żywą pociechą, w której serce tonie,
Kiedy już bić ma wkrótce przy kochanem łonie,
I z tem świetnem wejrzeniem gdzie kona obawa,
Jednym radości skokiem, u drzwi domu stawa.
Ah! ileż wdzięków, pieszczot, jemu się obudzi!
Chwila jeszcze, a będzie szczęśliwszym od ludzi,
Od aniołów; zastukał, raz, drugi i trzeci,
Trzy razy czujne echo z odpowiedzią leci,

I milczy, to jedyny znak ruchu lub życia.
Który tam drzymiąc, czekał rycerza przybycia.
Ni chodu spiesznych kroków, zgiełku w nagłej
mowie.
Ni światła, w ciemnej, cichej, zamkniętej budowie.
Oh! Jakże sen ich twardy! Niecierpliwość radzi,
Że szabla jednem cięciem przez próg przeprowadzi!
Lecz te gwałtowną radę musiał on odrzucić;
Wnosić jej niespokojność, żeby swoją skrócić?
Raczej niech w jego piersiach burz kończy się
droga,
Byleby nigdy do niej nie doszła ich trwoga!
Jeszcze stukał, lecz słabiej, bo już w serca niebie,
Rosło anielskie czucie, zapomnienie siebie —
I wolnym odszedł krokiem — nieraz w pośród ciszy
Zatrzymując się nagle, czy kogo nie słyszy?
Spojrzał na księżyc w pełni, co jego postawę,
W czarnych, olbrzymich kształtach obalał na
trawę.
Jak słodko i spokojnie bieg swój jasny toczy!
Ah! bo na swoje słońce ma zwrócone oczy!
Uchylił rycerz głowę: widzieć mu się marzy,
Jakby szyderski uśmiech w tej pyzatej twarzy.
I tak dumając smutnie, lub niemyśląc wcale,
W odmęcie sprzecznych uczuć, gdzie trwogi i żale,
Miłość, wspomnienia, szczęście, wszystko w zawieszeniu,
Błąkał się w koło domu śpiącego w milczeniu,
Co cichy, głuchy, martwy, i skarb drogi mieści,
Jak te zaklęte zamki arabskich powieści.
Lecz cóż to? Już w zupełnej nadziei utracie,
Postrzega ruch nareszcie, w sypialnej komnacie
Widzi otwarte okno, i lekka zasłona,
Co tam nocnym tułaczom na straż rozwieszona,
Z nieśmiałego wietrzyka płochliwie urąga,
Wypycha go z pokoju, i znowu go wciąga.

O! Jaki luby ogień zbiegł rycerza żyły!
A wszystkie blaski szczęścia do lic pośpieszyły;
Jak tu szalonym myślom stawić się oporem?
Trzeba być cnot najczystszych, lub kamieni wzorem;
Nie był jednym, ni drugim, umiał walczyć w boju,
Kochać, być wiernym, wdzięcznym — już Wacław w pokoju!

XVI.

Na nierozsłanem łożu, w żałobnej odzieży,
Rozciągnięta niewiasta uspiona tam leży;
Ale jej snu twardego wygoda nie pieści:
I jakby nagłą przerwą gwałtownych boleści.
Jeszcze w jej sinej twarzy cierpienie zostało,
Choć spokojne, bez ruchu, wyprężone ciało,
I długie jej warkocze spadały w nieładzie.
Nie w takim, w jaki miłość śpiące wdzięki kładzie.
I smutnie się nadęła wysileniem tłusta,
Jakby się skarżyć chciała; tylko że jej usta
Ścięte silniejszą władzą, a promień księżyca
Co tę posępną postać migając oświeca,
Tak dziką tkliwość rzucał w przymrużone oczy,
Z jaką mizg upiorzycy, gdy kochanka zoczy.
To młoda śliczna Marja, rycerz przed nią stoi,
Przyniósł jej ziemskie szczęście, i czegoż się boi
To młoda śliczna Marja? Oh! jakże zmieniona
Czy już się będzie robak tulić do jej łona?
Ale nie długo Wacław stał tam w podziwieniu,
Prędko się w nim duch oparł swego ciała drżeniu;
Schyla się na jej lica, usta do ust łączy,
I słodycz swego serca roskosznie w nie sączy.
„O! Moja droga Marjo! Ty zimna i niema.
„A dla nas już jest szczęście“, echo mówi: „Nie ma.“
„Marjo! kochana Marjo! W boju mnie widzieli.
„Ojciec mnie z tobą spoi“, echo mówi: „Dzieli.“

Znowu ją pieści, cuci, z miłością stroskaną,
Coby się pocieszyła choć westchnień zamianą:
Jej głowa nagłym rzutem na piersi mu spada,
I w uderzonej zbroi jękiem odpowiada.
Krzyczał, szukał ratunku, pusty dom przebiegał,
Tylko się marny zapęd po ścianach rozlegał!
Wraca, znalazł nadzieję, może czy nie zetrze
Mroku z jej czarnych oczu otwarte powietrze?
Lecz gdy silne rycerza unosi ją ramię,
W jakież okropne ruchy jej kibić się łamie!
Nie z tą gjętką lotnością co w dół nie przyciska,
Lecz w całem opuszczeniu świeżego zwaliska,
Zwieszone ręce, głowa, zdrętwiałe już nogi,
Czynią z niej przedmiot straszny, jemu jeszcze drogi.
„Oh! wody! wody!“ wołał z przeraźliwym wrzaskiem,
Ogromne drzwi budynku wywalając z trzaskiem.

XVII.

W szarej chwastów zarośli lekki ruch się zdaje,
Rozsuwają się liście i czapka wystaje,
I głowa się podnosi — i stanęło ciało,
Co tam w cichem czekaniu ukryte siedziało,
Młodego pacholęcia co na świat płakało.
I wzrokiem rozczulonym patrzy się w rycerza,
I jego zwiędłą młodość podziwieniem zmierza:
Czy strachu, czy uroku schowane tam siłą?
Nie wiem, wyszło z gęstwiny, i tak przemówiło.

„Niech rycerz drżącem sercem nie pragnie tak wody,
„Bo w niej zgasnął dopiero blask ziemskiej urody;
„To te obrzydłe maski, w swej zdradnej zabawie,
„Śliczne łono tej pani zatopiły w stawie:
„A kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci.

„Wszyscy domowi, szlachta, panny, giermki, draby (12),
„Pobiegli w pogoń, drudzy, po księży i baby:
„I dom teraz w cichości; lecz nim zorza znijdzie,
„Mrucząc, kadząc, śpiewając, służba śmierci przyjdzie,
„A kto im raz się dostanie,
„Zawsze już u nich zostanie.
„Zawsze, oh! smutne brzmienie, kiedy srogim losem,
„Ciężkiej straty i żalu stanie się odgłosem!
„W miłości i przyjaźni, w każdej życia dobie,
„Tak często powtarzane, a prawdziwe, w grobie,
„Bo kto raz ludzi porzuci,
„Nigdy już do nich nie wróci."

I podniosłszy na palcach swoją małą postać,
Żeby się rycerzowi do ucha mógł dostać,
Szeptał, szeptał swą powieść, a w twarzy rycerza,
Czarna, czarniejsza chmura, coraz się rozszerza;
I znów nagle, rospaczą zaciemnione lica
Zapał gniewu i wzgardy jak piorun oświeca:
Aż w nim powstała wreszcie ta ponurość dzika,
Co patrzy w jeden przedmiot, w trumnę przeciwnika,
Kruszy najświętsze węzły w ogniu swego piekła,
Gdy i w najbliższem sercu trucizny dociekła!
Aż w nim powstała wreszcie ta chciwość szalona
Krwi, krzyku, dzwonów, płomień popsutego łona,
Co domowej niezgody rozpala pochodnię,
I w własnem swojem gnieździe zbrodnią karze zbrodnię!
Lecz jeśli takie były najwyższe w nim męki,
Zgon najdroższego szczęścia z błogosławieństw ręki,
O! jak bezecnej zemście co nim słusznie miota,
Towarzyszy okropnie rospacz i zgryzota!

A wszystkie razem bole, w osłupiałem oku
Łączy myśl przeraźliwa, niezmienność wyroku!
Mniej straszna w swem nieszczęściu, od wężów
jedzona,
Wzór najsroższych męczarni, postać Laokona (13).

XVIII.

I tak Wacław od razu wszystko w świecie traci,
Szczęście, cnotę, szacunek dla ludzi swych braci;
I już nigdy swej lubej ze snu nie obudzi,
Co mu miała zastąpić wszystkie cnoty ludzi.
Której blask czysty, słodki, anielskim promieniem
Fałsz przyjaźni, serc próżność, powłóczył złudzeniem.
I tak Wacław pozostał samotny w pustyni —
Jakże zniknienie Marji ciemną ją uczyni!
Długo on przy jej zwłokach stał w niemej żałobie,
Jakby z kamienia posąg przy kochanki grobie;
Bo zgroza srogiej złości, i widok jej skutku,
Wygnały nawet z duszy rozczulenie smutku,
Tylko ten gorzki pomysł do żalu go wrócił:
„Ah! czemu ufał ludziom, czemu ją porzucił!"
I gdy w jej zbrzękłej twarzy widzieć mu się zdało,
Co tam w walkach ze śmiercią mimo niej zmartwiało,
Pierwszy, ostatni wyrzut, i to z tym wyrazem,
Że ich szczęście i siebie, zagubił z nią razem!
Wtedy dopiero serce odzyskało bicie.
Twarz ukrył w obie ręce, i płakał jak dziecię!
Lecz nie długo, już serce zdradzone, pokłute,
Zepsuło się w truciznie przez jedną minutę!
Już duszy wprzód wyniosłej, zatknięte to godło,
Co wygnańców swych myśli w sromotę zawiodło.
Czyż ten bujny młodzieniec już ziemi ohyda?
Ah! pytaj raczej na co dobroć się tu przyda?

Gdzie co czułe, szlachetne tylko chwilę świeci,
Gdzie zgon starych rodziców korzyścią ich dzieci;
Gdzie chlubna miłość bliźnich, w udanej tkliwości,
Cieszy się ich niedolą lub szczęścia zazdrości.
Gdzie rola wzniosłych chęci zawsze się nie uda,
Bo w śliczny welon cnoty stroi się obłuda.
Gdzie tylko jedna słodycz, w wzajemnym zachwycie,
Serc wiernych, niezgadnionych zanurzyć swe życie.

XIX.

W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie,
Dla jednych, czas powoli odrętwienie niesie;
Gubią listek po listku: aż w późnej jesieni,
Jak wszyste, głuche dęby stoją obnażeni.
Drugim, skwarem ich słońca zbite nawałnice,
Rzucą z trzaskiem i grzmotem dzikie tajemnice;
I znów błyśnie pogoda, i czasem się zdaje,
Że weselsza zieloność po burzy powstaje —
Lecz kto się bliżej wpatrzy, choć pozór jednaki,
Dostrzeże czarne wewnątrz spalenizny znaki;
A gdy w rażonem drzewie wicher rdzeń rozżarzy,
Któż pożar od piorunu gasić się odważy?
I tak bujna krzewina zniszczenie rozniesie,
W tym ciemnym ludzkich uczuć i posępnym lesie.

Co Wacław sobie w życiu może obiecywać?
Trudnoby wytłumaczyć, i straszno zgadywać;
Na jego sercu ciemna, skrwawiona zasłona.
Dosyć, na cóż ją zdzierać z ranionego łona?
Wszystko on już postradał, i chyba to zyska
Że nie czas, ale płomień zniszczy w nim zwaliska.
To w krótkiem zamyśleniu, korząc się przed Bogiem,
Z swym małym przyjacielem czyli nowym wrogiem,

Umarłe ciało nazad wnieśli do komnaty;
A księżyc mglistym oczom pożyczył oświaty.
Tam Wacław raz ostatni posłanie jejmości,
I czułem wyręczeniem bezwładnej skromności,
Jej członki, włosy, szaty, w porządek układa,
Bo ciekawa złośliwość i w śmierci ogada.
Wtedy, z tęsknem wejrzeniem na jej martwe lica,
W którem żałość rozstania, lecz i obietnica
Prędkiego połączenia, z uwagą rospaczy,
Co każdy rys nieszczęścia w pamięć sobie znaczy —
Wtedy, dobywszy miecza co świsnął, a w cięciu
Srogim będzie, i w trupa zostanie ujęciu,
Wyszedł, i zaraz z twarzy wszelkie znikły bole:
Skoczył na koń, a za nim usiadło pacholę.
Lecz któż był ten człek mały z okiem zapłakanem?
Czy duchem jego losu? aniołem? szatanem?
Czy szczerze drażni męki, lub smutek z nim dzieli?
Nie wiem; objął rycerza, i w czwał polecieli.

XX.

Na ukraińskiej cerkwi błyszczą się trzy wieże;
A ukraińskie baby szepcą swe pacierze:
Biją we dzwony żaki, i zysk sobie krzeszą;
Ludzie dobrzy czy pogrzeb, czy to chrzciny spieszą:
Wewnątrz kiry. katafalk i trumna, a w rzędy
Rado się palą świece, czarno, straszno wszędy.
Czyjaż tam wzniosła postać śród ciekawych grona,
Leży długim i martwym krzyżem rozściełona?
Czyjaż tam pierś rycerska w kurzawie się wala?
I z tą cichą pokorą, co się nie użala
Choć i najsroższych kaźni ciężkie dźwiga brzemię,
W swej niemej pobożności jakby wbita w ziemię?
Blady, jak łysk od gromnic co mu na twarz wbiega,
Smutny, jak śpiew umarłych co się tam rozlega,
Z poziomego zniżenia, gdzie go wiara tłoczy,
Jak robak świętojański świecą jego oczy.

Ah! To pana miecznika siwa, nędzna głowa.
Niedawno żonę stracił, teraz córę chowa;
Na to huśtał kołyskę by w trumnie uśpili,
Na to jej woził lamę żeby całun szyli.
I dziwno, tak nieczułym zdał się na pogrzebie,
Jakby już dusza jego była z córką w niebie.
I takim był i potem — ni żalu, ni skargi.
Nikomu nie zwierzyły wypłowiałe wargi;
Ni łez w hardem spojrzeniu nie było oznaki:
Mniej z ludźmi, więcej z Bogiem, a zresztą jednaki.
Codzień on w jednej porze chodził pokryjomu;
Lecz nim wydano hasła, powracał do domu.
Raz, i północ minęła, a miecznik nie wraca:
I gdy patrząca czujność nadzieję utraca,
Gdy dziko grają trąby, a ze snu, jak z procy,
Rzucili się rycerze k'zemście lub pomocy,
Znaleźli go w smętarzu, przy córki i żony
Przyległych dwóch mogiłach, klęczał nachylony:
Taż sama w ustach słodycz, a w czole sędziwość,
Taż sama bladość twarzy, ale oczu żywość.
Czapka, wąsy, dla Polski straszydło na wrogi,
I żupan ten sam czarny — tylko że gdy trwogi
Odgłos z trąby wojennej dochodził daleki,
Nie porwał się do korda, już spał, spał na wieki!
I cicho, gdzie trzy mogił w posępnej drużynie;
I pusto, smutno, tęskno w bujnej Ukrainie.

WACŁAW.

DALSZY CIĄG MARJI MALCZEWSKIEGO

PRZEZ

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Są przedmioty których by się pióro poety tknąć nie powinno; takim zapewne jest śmierć Wacława, którego nam Antoni Malczewski tak cudownemi kolorami w poemacie Marja odmalował. Jakiś jednak mimowolny pociąg, chciałbym go nazwać natchnieniem, zmusił mię do napisania następnego poematu; a od prawdziwych nie odstępując podań, starałem się ile możności zidealizować rzecz pełną czarnych mętów i okropności. Może kilka strof spowiedzi Wacława wyjednają mi u czytelnika nieco pobłażającego sądu, dla reszty i ogólnego układu pisma, którego już ani poprawić ani przemienić nie jestem zdolny.

J. S....

I.

Witaj mi ziemio stepów — gładka, cicha,
Gdzie kwiat dla Boga kwitnie i usycha;
Gdzie dwa kurhany na błękitnem niebie
Przez całe stepy patrzą się na siebie;
Gdzie przerywają trupy sen grobowy,
Orłami z sobą prowadząc rozmowy.
Lub gdy je przyjaźń w mogiłach nie zbliża,
A krzyż się groźnie pogląda na krzyża,
I oba drewna niby grożą sobie
Przez całe stepy, ziemią śpiącą w grobie!
Krzyżowe groźby i powietrzna ptaków
Lecą przez krwawe doliny bodjaków;
I czuć w powietrzu że tu myśli wojna,
Choć słońce złote, choć ziemia spokojna.
Bo choć się skończą rycerstwa i waśnie,
To ziemia mogił tak prędko nie zaśnie!
Ale w jej sercu wolność się odzywa,
Kiedy się orzeł gdzie z mogiły zrywa,
Kiedy zatętni jak wicher głuchy —
Gdy zaszeleszczą powojów łańcuchy,
Albo gdy śmignie jaki złoty sumak,
Myśli że biały Pułaskiego rumak;
Albo gdy kosa o kamień zadzwoni,
Myśli że Sawa jedzie w tysiąc koni! —
Ale już w grobach są ci sławo-kradni.
Ziemio kurhanów, nie marz o nich — zaśnij!

II.

Znasz ty tęczowe Rusałek upiory?
Czy znasz prorocką dumę Wernyhory?

Czy wiesz, co będzie w jarze Janczarychy,
Gdzie teraz gołąb, lub jelonek cichy,
Ze łzą przeczystą w szafirowem oku.
Gdzieś w księżycowym się przegląda stoku?
Czy wiesz że wszystkie te się sprawdzą śnicia
W jednej godzinie rycerskiego życia?
Że pomścisz syna, ojca, matkę, brata,
W tej błyskawicy co na szabli lata! —
Niech tylko serce rycerza, o Chryste!
Jako lilija będzie we krwi czyste.
Niech tylko wprzódy nie splami zgryzota
Duszy, co jako ptak się w sidłach miota;
Niechaj się tylko każdy dumnie waży
Złotym aniołem, w ojczyźnie na straży:
To, chyba w końcu na takich Aniołów.
Wróg będzie piorun miał w ręku — nie ołów.

III.

Jeśli pod tobą wolny koń stepowy,
Omijaj zamek ten i te parowy.
Niech cię nie wabi ten na zamku czole
Napis, co błyska od słońca na pole:
Bo to jest kłamstwo marmurów ohydne,
Złotem pisane i zdaleka widne.
Uciekaj stepem przez burzanu fale,
Nie wierz napisom, nie zazieraj w sale,
Bo tam owionie i męstwo ci zetrze,
Gorsze niż w grobach — zdradziectwa powietrze!
Gorsze niż dżuma co zabija ciało!
Gorsze! — Choć pałac ten wygląda biało;
Choć za nim widać lipy starożytne,
Białe kościołki, jeziora błękitne —
Chociaż łabędzie śpią na tych jeziorach,
Choć róże stoją w jutrzenki kolorach;
Chociaż słowiki mieszkają w topolach.
A dalej błękit i kłosy na polach:

Nie wierz zdradzieckiej natury obłudzie,
Ten zamek pełny — w tym zamku są ludzie!

IV.

Od czasu jeszcze dawnych Pelopidów,
Od wygaśnienia rodziny Atrydów,
Nigdzie krwi tyle na gmachu kamieniach:
Nigdzie plam tyle od zbrodni w sumieniach.
Nigdzie rodziny tak czarnej nie było,
Tak czarnych prochów pod żadną mogiłą! —
Chciałbym powiedzieć — W Imię Ojca Ducha!
Kto tak okropnej powieści wysłucha?

V.

Choć w zamku gości częstują wspaniale,
Gospodarz dawno nie schodzi na sale.
Niegdyś widziano go w gromadnem kole,
Jak trup śród ludzi, jak upiór przy stole.
Zimne po sercach przechodziło mrowie,
Kiedy co mówił, gdy pił jakie zdrowie;
A gdy wziął kielich w rękę trupią, siną,
W kielichu krew się zdawała, nie wino.
Każdy co z gości do stołu zasiadał,
Nie znał go prawie, nigdy z nim nie gadał;
Gdy wszedł — nie wstawał nikt przed tym człowiekiem
Choć orderami był srebrny i wiekiem! —
Ani posłane z poselstwem od matki,
Kiedy go w rękę całowały dziatki.
Jakby przed marą piekielną szkaradną,
Stają przed ojcem zalęknione — bladną,
I uciekają, nie wyrzekłszy słowa,
Lub kamienieją. Nie twarz to surowa —
Bo miłą miał twarz ten człowiek z natury;
Ani wzrok jego dziki i ponury,

Bo na swe dziatki patrząc. łzy miał w oku!
Lecz przerażenie z Boskiego wyroku
Wisiało nad nim. jako krwawa tęcza.
A gorzej — wiedział to sam że odstręcza;
Że coś pomiędzy nim a światem stoi,
Czego się sługa. dziecko. słońce boi.
Więc już oddawna zaniechał z rospaczą
Przepraszać serca, które nie przebaczą.
Ujmować dusze co chcą nienawidzić:
A nie mógł niemi pogardzać i szydzić.
Nawet choć wiedział że tłumną hołotą
Rzucał się sprośny lud na jego złoto:
Tak wielką znalazł pokorę w swej winie.
Że nie pogardził i otworzył skrzynie:
A wtenczas sercu jego. biczem jędzy
Był brzęk liczonych po zamku pieniędzy.

VI.

Nareszcie uciekł od ludzi i słońca.
A przy nim tylko jak anioł obrońca.
Maleńki. blady i nierozkwitniony.
Był smutny synek jego pierwszej żony.
To jedne dziecko przy nim czuwa. tleje.
Jako różyczka przy cedrze więdnieje.
On duszę ojca. gdy w rospacz upada.
Szafirowemi oczkami spowiada:
I patrz! Że czarny nędzarz nie unika
Tak błękitnego grzechów spowiednika.
Ale mu z oczek cały błękit świeży
Pije oczyma — i wzdycha i wierzy
W ostatnią pomoc — w moc dziecka pacierzy.
Kiedyś zawczesnym zagrożoną zgonem
Dziecinkę swoją nazwał Eolionem:
Bo myślał że ten kwiatek biały. kruchy,
Wezmą ze złotej kołyseczki duchy

I w nieśmiertelne zaniosą ogniska:
A więc mu nie dał ludzkiego nazwiska,
Ale powietrzne, duszy, nie popiołom
Imię, łatwiejsze wymówić aniołom.
To dziecko jemu zostało przy boku
Ze łzą w źrenicy, z promionkami w oku —
I czuwa przy nim. Lecz z wyroków Pana
Dusza w dziecięciu błądem obłąkana,
Smutna, i z ciałkiem niedołężnem zwadna,
A w obłąkaniach jak aniołek ładna:
Gdy się uśmiecha — zda się że do nieba:
Płacze — to myślisz że mu tak potrzeba
Nad jaką dawną pamiątką, lub szkodą,
Jak zapłakanej wierzbie stać nad wodą.
Tylko że ojcu, gdy mu dziecię zbladło,
W chorobie dziecka jest zgryzot zwierciadło! —
Tylko że nieraz jakaś moc grobowa,
Przekleństwo ojca kładnie w dziecka słowa:
Lub w obłąkane czynności dziecięce,
Jakieś piekielne mięszają się ręce,
I straszne rzeczy czynią dziecka mocą —
I dziś — gdy Wacław zasnął — przed północą —
— — — — — — — — — — —

VII.

Lecz gdzież jest młoda małżonka? Grafini?
Czemu nie przy nim? Dawniej niewolnica,
Dziś samowładna w zamku monarchini —
Z kimże to błądzi po świetle księżyca?
Z kimże to słucha śpiewania słowików?
Dla kogoż rzuca ucztę, stołowników,
Dzieci i męża bezsenne wezgłowie?
A jednak, mówią, dba o grafa zdrowie! —
Sama przyprawia mu z lekarstwem czary.
Nieraz przy łożu jak ulotne mary

Staje powiewna, z lampą w ręku, blada,
Słuchać co śpiący o niej we śnie gada.
A mówią ludzie że nieraz jej ręka
Słucha, czy serce się w chorym nie pęka:
Bo takie drgania mu piersi podnoszą,
Takie go zimne, straszne poty roszą
Gdy śpi, a patrzy na śpiącego żona,
Jakby go anioł śmierci brał w ramiona.
Lecz dzisiaj z kimże na wieczornym chłodzie
Chodzi ta pani po mglistym ogrodzie?
Jeśli zbrodnicza miłość w sercu bije,
Ona się z taką miłością nie kryje.
Ale otwarcie, z bezwstydem na czole,
Kochanka sadza u boku przy stole:
Bo ten kochanek, nie wybrany w tłumie,
Zwykle pochlebia jej skażonej dymie.
To jaki książe, to króla powierny:
Pies nań nie szczeka, przepuszcza odźwierny,
Wszyscy go nawet witają ukłonem:
Zamek jest jego łożem, domem, tronem. —
Włada — gdzieindziej podobny do węża,
Tu zdrajca — panem jest żony i męża!
Więc to nie z gachem Dianna grafini.
Tajemne schadzki ma w ciemnej jaskini?
W grocie co gładkim wyłożona brusem,
Szklannej kaskady zamknięta obrusem.
Szarfa ta wody lecąca z wysoka,
Nie puści w grotę śledzącego oka,
Ani księżyca — lecz przez nią przeleci
Czarna jaskółka, co w grocie ma dzieci:
Ta jedna kryształ skrzydłami rozcina —
Na wszystko miłość waży się matczyna.
Lecz noc — jaskółki śpią w gniazdach ukryte,
A ciemność trwożną okryła kobietę. —.
Chociaż nie sama drży jak liść osiny,
Kiedy się w gniazdach poruszą ptaszyny:
Gdy woda głośniej w kaskadzie zakrzyczy.

A ten powiernik kto? duch tajemniczy?
Szata go długa w ciemności obiela,
Na głowie wianek stepowego ziela —
Na głowie, siwem porośniętej runem,
Wiąże się burzan czerwony z piołunem.
A przed nim kocioł, czary i amfory. —
Ku jakiej sprawie? Ku czemu przybory?
Czy klątwy rzucać, czy palić ofiary?
Czy zabić kogo piekielnemi czary?
Z jakim to widmem skandynawskiej Frei,
Grafini dzieło zaczyna Medei?

VIII.

Zaledwo pani wargę koralową,
Pierwsze i drżące otworzyło słowo —
O! nieba! leci jasnych świateł krocie
Z pałacu, ciemną aleją, ku grocie,
I rozsypują się po drzew łańcuchu:
W ogrodzie pełno krzyku, blasku, ruchu!
Na cichej wodzie łabędź się poruszył,
Strzepotał, wody zwierciadlane skruszył,
Zapienił cały krąg, zbudzony nagle,
Otworzył wszystkie puchy, pióra, żagle —
I znów spokojny spogląda wspaniale
Na rozchodzące się kręgami fale.
Tak silne serce posępnie się rzuci,
Kiedy go ze snu jaki grom ocuci,
Porwie się nagle, tłum spokojny zmięsza —
I widzi jak się przerażona rzesza
Cofa, jak kręgi blademi ucieka
Od rażonego nieszczęściem człowieka;
To wtenczas duma na pomoc przybędzie,
To wtenczas skrzydła duchowe, łabędzie,
Całe rozwioną przeciw wichrom losu —
To wtenczas serce jak z twardego ciosu.

I tem się nawet chełpi boleść sroga,
Że miała świadkiem walki — tylko Boga.
I tem się cieszy serce, choćby pękło,
Że zamiast podłych zlitować — przelękło.

IX.

Ludzie po drzewach szukający wszędzie,
Budzą słowiki i płoszą łabędzie.
Już słychać szmery, już wrzawa szalona,
Że graf otruty, że cierpi, że kona.
Wreszcie okropna wieść do groty wpadła:
Powiernik zaśmiał się — a pani zbladła!
I znów skościeli oboje na długo.
Lecz ktoby wtenczas ją widział z tym sługą,
Ktoby ją widział, kiedy przez kaskadę
Blaski księżyca ją oblały blade:
Ktoby w jej usta, już nie koralowe
Ale pobladłe, otwarte, surowe,
Spojrzał i słuchał gdy tak stała cicha,
Jak przez te usta serce w niej oddycha:
Ktoby usłyszał z jakim dzikim wrzaskiem
Wybiegła, z ludźmi się spotkać i z blaskiem
I z obwinieniem co na każdej twarzy
Przy migającej się pochodni żarzy!
Ktoby w tej chwili, nie zalane łezką,
Ale pięknością jasne nad-niebieską,
Widział jej oczy, gdy je w gwiazdach trzyma,
Albo o męża pyta się oczyma:
Ten by ją całkiem miał niepotępioną! —
Zepsutą była, niewierną — lecz żoną.

X.

Jedne tam okno na zamkowej sali
Od czerwonego księżyca się pali.
To właśnie okno grafowskiej komnaty —
Jak anioł, blaskiem czerwonym skrzydlaty

Stoi na zamku, patrzy na katusze,
I czeka by wziąść z tego ciała duszę —
U bramy zamku tłum pobladły czeka.
Na drodze widać konnego człowieka,
Jak czarny szatan z płomykiem na głowie:
Otwierać bramy nim się człek opowie!
Bo to nie djabeł, ani żadna jędza,
To Kozak pański konno wiezie księdza.
Będziesz pamiętał ty księże Prokopie
Jak się kozaczy koń przez jary kopie,
Jak parska ogniem, jak daje szczupaka.
Choć ma na sobie księdza i Kozaka.
Hej! hej! skrzypiąca brama się odmyka.
Kozak na koniu przywiózł spowiednika;
Przeskoczył djaków i bab bladych wianek,
Wziął go za kaptur i rzucił na ganek.
Sam idzie w tłumy, gdzie ponure gwary,
Że ktoś na pana rzucił śmiertne czary.
Kto? wszystkie oczy idą ku tej stronie,
Gdzie u grafini w oknie lampa płonie.
'czoraj — widziano ją w grocie z wieczora
e samą — mówią że trup Wernyhora
zyszedł się pomścić za Lachów ojczyznę,
z grobu przyniósł dla pani truciznę.

XI.

różno ksiądz czeka u grafa podwoi,
Zamknął się Wacław i ludzi się boi,
z małym synkiem sam na sam się pieści.
Widziano pierwsze trucizny boleści —
sam mówił ludziom że otruty kona,
Potem służalców wygnał; nawet żona
Wejść się nie waży gdzie spoczywa chory,
Bo sam ode drzwi zasunął zapory;
A bramę chyba wyłamać wypada
Jak umrze. U drzwi słuchają. Graf gada —

Czasem się jakiś głosek serafina,
Niebieską skargą ojcu przypomina:
Czasem dwa tylko ciężkie odetchnienia,
Jakieś żałosne szmery i westchnienia;
I służebników tłum się niecierpliwi,
Bo słońce weszło — oni jeszcze żywi.
I dzień na strasznem zszedł oczekiwaniu,
Na skargach ojca, na dziecka płakaniu —
I księżyc weszedł, a ci dwaj straszliwi
W tajemniczości nocnej jeszcze żywi.
Śmierć ich mównemi uczyniła smutnie:
Ich głos w zamknięciu, jak dwie zgodne lutnie.
Ci co słuchali przez grube podwoje,
Mówią, że więcej tam głosów niż dwoje.

XII.

Oddawna wieści szemrzą poszept głuchy,
Że z grafem jakieś są po nocach duchy.
Raz go widziano jak przez zamku cienie
Wodził za sobą dwa ciche płomienie.
Skrawe, czerwone, piekielne straszydła,
Mające oczy i włosy i skrzydła.
Ścigany przez nie wybiegał z komnaty
Tylnemi drzwiami, na ogród, na kwiaty; —
I raz go z wody wydobyła zgraja:
Było to, mówią, w dzień trzeciego Maja.
Widziano jak biegł przez łąkę w zawody,
Ognie go, mówią, zagnały do wody —
Widziano jak się topił cały blady:
Skądże ta rospacz? i te ognio-ślady?
Gdy ziemia w nowe kwiaty się ustraja,
Gdy wszystko ciche w dzień wiosenny maja?
A już to od lat wielu takie rzeczy —
Nikt nie przysięgnie, i nikt nie zaprzeczy,
Wszyscy się boją wierzyć w takie dziwo.
W młodości, słychać, zgrzeszył bardzo krzywo,

Dla tego piorun za nim się pomyka.
Owiewa skrami, straszy, lecz nie tyka;
Tylko grobowym okrąży zapachem,
Aby go zabić krwią, albo przestrachem.
A mówiąc o tem ludzie, z twarzą bladą,
Dodają: człowiek ten przewinił zdradą —
I sam się dzisiaj chce karać za zbrodnie,
Sam przyzwał piekieł czerwone pochodnie;
A kiedy przyjdą i nad łożem staną,
On się nakrywa chustą, krwią zbryzganą! —
W tej chuście niegdyś mu kozacka spisa
Podała w nocy sąd na infamisa.
Gdy kraj zdradzony już był i rozdarty.
Ta chusta i te pargaminu karty
Leżą przy łożu koło puginału —
Niech Bóg go broni w rospaczy od szału!
Biada! o. biada! Gdy przy łożu siędzie
Śmierci przyczyna i śmierci narzędzie!
To dość dla serca co się samo dręczy —
Widm nie potrzeba: sumienie wyręczy.
A rzecz straszniejsza! sumienie Wacława
Nabyło nawet nad uśpionym prawa!
On w nocy wstaje i z otwartem okiem
Po zamku chodzi niesłyszanym krokiem;
Czasem pochodnią sobie świeci nocną.
Oczy otwarte, wyiskrzone mocno —
Lecz jakby co się roiło w źrenicy,
Ani w nich mgnienia, ani błyskawicy,
Ani się światła bliskiego przelękną:
A gdy się wpatrzą w co — zda się że pękną.

XIII.

Znałem ja Grafa Wacława za młodu.
Dumny z piękności, z wysokiego rodu;
Drzewo, co później mogło czekać zimy —
On tak wyglądał, jak rycerz Solimy

Piękny i straszny, kiedy go koń kary
Niósł do kochanki przez burzanów jary,
Kiedy na jakie powietrzne wołanie
Stawał, obejrzeć się gdzie na kurhanie.
Myślałbyś wtenczas że to anioł stepu.
Pod błękitami niebieskiego sklepu
Stoi i czeka, aż wicher poruszy
Na jaką walkę skrzydła jego duszy.
Cóż się z nim stało? Czy to moich powiek
Mara? — Gdzie tamten anioł, rycerz, człowiek?

XIV.

Smutny był koniec jego pierwszej żony —
Dostała wcześnie anielskiej korony,
Zamordowana, utopiona w stawie,
Gdy na wojennej był Wacław wyprawie.
Mówią, że obce pomściły się prawa
Śmierci synowej, na ojcu Wacława.
Jeżeli tak jest? O, Chryste na męce!
Jakie w tym rodzie serca! Jakie ręce!
Mówią — że ojciec Graf w turmę zamknięty,
Umarł przed sądem — a drudzy że ścięty —
Lecz takiej rzeczy myśl nie wierzy sama
Na takim wielkim rodzie? Taka plama!
Tak wielka szyja złamana nad gminem? —
Lecz ojcu nie mieć litości nad synem,
Ale zabójców nasłać na synowe,
I za pieniądze módz odkupić głowę! —
Gdy nieraz ołów ludzki się zagłębia
W serce orlicy, i za śmierć gołębia,
Nikt-że tej śmierci pomścić się nie umie
Na krwi wysokiej? Na wyniosłej dumie?
Nikt-że — prócz syna — co za te popioły
Ojcowi musiał miecz pokazać goły?
Tak się więc zbrodnia ogniwami winie,
Że ojciec własny wroga widzi w synie;

Albo umiera, syna krwią czerwony,
Nie pożegnany i nie przebaczony.
Albo tak skala syna pierś łabędzią,
Aby mu nie był czystszym, ani sędzią:
Aż tam nareszcie stanie pochylony
Zdrajca narodu, przed zbójcą swej żony:
Aż znowu wrócą pod zwyczajne prawa,
I od przedajnej głowy wyższa — krwawa.

XV.

Ale to pewna że śmiercią tej żony
Graf Wacław dziwnie na sercu zmieniony!
Ponurość ciemne okryła oblicze.
Serce zamknięte ludziom, tajemnicze —
Na czole duma. Gdy kto weń uderzył
Miłością czystą ojczyzny — nie wierzył.
Na wszystkie echa roskoszy i jęku
Serce się jego już pozbyło dźwięku.
Coś ma cichego, okropnego w łonie —
Mówią, że myśli o polskiej koronie.
Króla w nim widzą przyjacielskie oczy,
Wielkość wyśledza głos fałszu proroczy.
Jam go opuścił śród tego zamętu,
Myśląc: i cóż jest twardość diamentu!
I cóż jest wierność grobowi, pamiątkom —
W sercu najtwardszem? jakimże to wrątkom
Daje się dusza unosić Wacława?
Chmurzy się niebo — burza będzie krwawa.
Więcej niż Boga, ta dusza tajemna
Zamyka w sobie — przyszłość będzie ciemna.
Bogdajbym nie zgadł! Lecz smutna w nim siła:
Miłość go tknęła, boleść nie zabiła —
Więc jeszcze nadto w nim miłośnej siły
A już nikogo kochać — prócz mogiły! —
O! kraj nieszczęsny, co jak spadkobierca
Po żonie weźmie dar strutego serca! —

Ludu! przeżegnaj tę marę złowrogą!
Ona na scenę świata wchodzi z trwogą;
Myśli że anioł ją rzucił obrończy —
Nieszczęściem zaczął — a piorunem skończy.

XVI.

A dziś? — Już koniec! Do Wacława gmachu
Weszła posępna królowa przestrachu.
Czy go kto otruł, czy struła zgryzota —
Kona, a przy nim synek, róża złota,
Gwiazdeczka ranna, także więdnie, gaśnie.
A w zamku bójka, kradzieże i waśnie;
Ten bierze sprzęty, ten ściany odziera;
Zamek się niszczy, pan zamku umiera.
Gdzie żona? — Ona w najciemniejszej sali
Brylanty chowa i papiery pali;
Nie sama — Greczyn w Arnauta stroju,
Leży na złotem wezgłowiu w pokoju —
Jak sułtan jaki wydaje rozkazy.
A nie powtarza wydanych dwa razy,
Bo go ta piękna słucha, myśl zgadywa,
I całuje go w ręce — nieszczęśliwa!

XVII.

„Dianno —!“ Przyszła, stanęła w pokorze.
„Zruć teraz piękna te ślubne obroże,
„Wypogodź teraz czoło lodowate.
„Lubię tę chłopkę, tę polską Hekatę;
„A skoro tylko zabłyśnie Fingary,
„Sam pójdę patrzeć jak zamawia czary.
„I śmierć posyła ludziom z ciemnej groty.“

„O! Antynoe już czuję zgryzoty,
„A przecież śmierci męża jam niewinna!
„Ona to! ona, ta kobieta gminna,

„Musiała jakieś zemsty niepowszednie.
„Lub spełniać jakie chłopskie przepowiednie;
„A gdy ja chciałam by ta wiedźma z piekła
„Czarę miłosnem zaklęciem urzekła:
„Ona — o! srogi i okropny błędzie! —
„I może on mię trupem kochać będzie.
„I z grobu przyjdzie po miłość marły.“

Tu się powoli drzwi sali otwarły.
Struchleli nagle oba kochankowie:
Wszedł śpiący, z szmatą skrwawioną na głowie.

XVIII.

Kto go tak ubrał? Nieraz synek mały,
Kiedy na ojca padał księżyc biały,
Widząc jak w świetle twarz się grafa mroczy;
Dwie białe róże kładł ojcu na oczy:
Lub w obłąkaniu — o! jasne i wdzięczne
Dziecka przysługi! — promienie miesięczne
Od ojca wzroku brał na swoje lica,
I tak zesmutniał cały od księżyca.
A dziś — okropność! Miałżeby Wacława —?
Przy łożu chustka ta leżała krwawa —
Miałżeby synek ten łachman grobowy,
Może z anioła ciemnego namowy.
Na głowę ojcu – ? O nie, ta czerwona
Chusta nie była w ręku Eoljona.
O nie — przysięgam święci aniołowie!
Syn nie położył mu tej krwi na głowie.
Bo mniej straszliwa byłaby ofiara,
Gdyby ojczyzny samej przyszła mara
Zajrzeć w lekarstwo, zaprawne piołunem,
I zdrajcę takim nakryła całunem:
Aby raz jeszcze, nim go Bóg obudzi,
Czerwono wrył się w pamięci u ludzi.

XIX.

Cóż to? Czy serce w tej kobiecie pękło
O marmur czoło uderzyło, jękło —
Kość zadzwoniła, gdy czołem upadła,
Przed same nogi groźnego widziadła.
I dziwnie — zadrżał, oczyma nie mignął.
Lecz cały zadrżał, i cały się wzdrygnął —
I stanął chwilę we śnie, zadziwiony,
Jakby usłyszał skąd o śmierci żony.
Lecz chwilę tylko chwiał się jak na szali
I nie obudził się — i poszedł dalej.

XX.

Sen to, czy mara jaka nie zbawiona?
Krzyczą po zamku że Grafini kona.
Nie dowiedzieć się czego u Greczyna.
Krew w nim zastygła, zimny jak gadzina:
W pochodni światło obłąkany patrzy.
Chłodny jak kamień, od marmuru bladszy.
Grafini kona — mówią — on nie słyszy.
Zlękli się ludzie jego trupiej ciszy.
Trącają - milczy jak widmo zaklęte,
Usta ma drżące, zęby mocno ścięte;
Wzięli, zimnego zanieśli na łoże.
Co się w tym zamku stało? Wielki Boże!
Tu śmierć nie czeka zwyczajnej kolei.
Grafini mówią była przy nadziei —
Wszyscy wiedzieli i tłum cały pyta
Czy jeszcze żyje, czy z dzieckiem zabita.

XXI.

Patrzaj! tam słońce nad Dnieprowe skały
Wyrzuca świetne brylantowe strzały.

Kwiaty ze łzami się podnoszą wdzięczne —
Tam w błękit czoło chowa się miesięczne.
Sarneczki złote na kurhany skaczą,
Róże się polne otwierają, płaczą —
Orzeł na krzyżu z rosy skrzydła trzepie.
Jaki spokojny wschód słońca na stepie!
Tylkoż w tym zamku złote słońce budzi
Z przerażonego snu pobladłych ludzi!
Tylkoż w tym zamku otworzą się oczy,
Które przed nocą mgła śmierci zamroczy!
Na cóż więc było na ten świat przychodzić!
Cierpieć, miłować, nienawidzieć, szkodzić:
Ażeby wreszcie słońce, dawno znane,
Weszło — ostatnie — i nie zapłakane?

XXII.

Graf Wacław woła. — Wybito podwoje,
Wchodzą. Czy trupów powalonych dwoje?
Graf Wacław — przy nim synaczek maleńki —
Zbladli — Graf woła księdza i trumienki —
Wyszli — pojechał Kozak do stolarza.
Do Grafa księdza wzięto od ołtarza.
Ksiądz ten pocieszać umiał nieszczęśliwe;
Spokojne lice i włosy miał siwe.
Obudził ojca, wziął go pod ramiona,
Postawił, krzyż mu przycisnął do łona,
Na złote słońce obrócił go twarzą,
Na róże co się pod oknami żarzą.
Słońce i kwiaty, czy Boską mu chwałę,
Czyli dzieciątko te przypomną małe.
Dobrze, bo przerwą posępne rospacze,
Bo może westchnie, przemówi, zapłacze? —
Nie — stoi martwy, twarz mu się nie mieni:
Tak w brylantowem powietrzu jesieni
Stoją bezlistne drzewa, w szronu szacie,
I zadumane jak po jakiej stracie.

I przyszli ludzie z gotową trumienką;
Ksiądz się obrócił i znak im dał ręką.
I wzięli trupka, po cichu wynieśli.
Ojciec nie słyszał tych ludzi — a jeśli
Słyszał, to udał dziwną licem chłodność —
Ostatnią dumę w nieszczęściu — łagodność.
I postradawszy tę dziecinkę drogą,
Już nie zapytał się o nią nikogo.
I tak był długo bez myśli, bez czucia,
Jak trup, nim dzieło zacznie się zepsucia.
Ksiądz złożył ręce na piersiach i czeka
Na smutną spowiedź grzesznego człowieka.

XXIII.

Usiadł — ksiądz słucha — on usty drżącemi:
„Księże! Skończyłem już wszystko na ziemi,
„Patrzaj! Czy widzisz ten komin i tygle?
„Bóg mię ukarał srogo, niedościgle:
„Wiem co w tej czarze było — o, anioły!
„Ogień miłosny i ludzkie popioły.
„Wypiłem z moim synkiem przez połowę —
„Co? Może ojców mych resztki grobowe?
„Strasznie pomyśleć: kto napój przyprawił.
„Co mię otruło, jaki się duch zjawił,
„Aby mi dzisiaj po nocy powiedział.
„O czym grobowiec dotąd tylko wiedział! —
„Cóż to za zemsta? Jacy to nieczuli,
„Co zdrajcę prochem antenatów struli?
„Tym czystym prochem, zdradzonym nikczemnie,
„Co się trucizną stał, gdy wstąpił we mnie!
„A jakąż to myśl mieli ci mściciele,
„Uśpione czucia budzić w mojem ciele,
„Żyły nalewać znowu krwią namiętną,
„Zbudzić to serce gdzie zgryzoty piętno?
„Wiedzieliż oni co ogień poruszy
„W czarnem sumieniu, w pokalanej duszy?

„Jaka rozogni się w krwi mojej zgniłość?
„Co wyjdzie na jaw? — Zaprawdę nie miłość!
„Ale zgryzotę zbudzili i pychę! —
„Przeklęci! Serce już tak spało ciche!
„Już tak popiołem i pleśnią nakryte,
„Już tak spokojne! Już takie zabite!
„A teraz znowu krwią nalane wściekłą! —
„Boleść w nim, burza, pioruny i piekło,
„Wszystko, co ludzi przerażało trwogą —
„Ale nie miłość — — Co kochać? i kogo?
„Ach, gdyby nawet z grobu wywołani,
„Gdyby ta nawet moja pierwsza pani,
„Ta najkochańsza, najsłodsza, umarła,
„Wstała — to serce by moje rozdarła.
„Płakałbym może i z cierpień się skarżył,
„Alebym kochać już nie mógł — nie ważył;
„Bo na to trzeba jaśniejszej godziny
„Niż starość ludzka, pełna krwi i winy:
„Co jako skrawy chmurny zachód słońca,
„Otwiera niebo bez Boga — bez końca."

XXIV.

„Księże! Są o mnie haniebne powieści,
„Nie wierz im wszystkim. Bez sławy, bez czci! —
„Nie jestem takim — jak ludzie niewinni;
„Ależ ja więcej cierpiałem niż inni.
„Ale ja większe miałem serce w sobie
„Do nakarmienia. — Tam małżonka w grobie,
„Tam ojca sądzą mojego, o zgroza!
„Na śmierć haniebną na karę powroza! —
„Mój teść otrzymał wyrok nie ojczysty —
„Mój ojciec, mój rod dawny, dumny, czysty,
„Wszystko to jedna godzina obali!
„Dzisiaj to wszystko ważyłbym na szali,
„Dzisiaj bym wolał, o Boże! przed gminem,
„Powieszonego się nazywać synem! —

„Lecz wtenczas! Z hańbą grożone zamężciem,
„Mój ojciec, mój ród, moje imię — ! Szczęściem
„Mój ojciec umarł — tak jak był powinien. —
„Czemuś ty księże zadrżał? Jam nie winien —
„Że mię widziano tej nocy przy turmie
„W księżycowego wichru dzikim szturmie?
„Na zapienionym żem uciekał koniu,
„Żem pędził z głuchym tententem po błoniu,
„Że ojca mego we krwi znaleziono
„Nazajutrz — księże! rozedrzyj mi łono
„I obacz serce, nim pójdę do trumny,
„Bo mówię prawdę — lecz przysiądz za dumny."

XXV.

„Jestem niewinien, ale nie wiem czemu
„W pamięci jestem podobny winnemu.
„Bo wyznam tobie, żem tej śmierci żądał,
„Nawet spodziewał się, czekał, wyglądał;
„Bo i wieść o niej chwyciłem łakomą
„Myślą, lecz zimno, jak rzecz już wiadomą.
„Coś we krwi miałem, coś w myśli ustrzegło,
„Co mi o śmierci tej pierwej przysięgło.
„To kiedy przyszli zwiastować mi smutni
„Ludzie, co chciwi męczyć, i okrutni,
„Lubią posępnych słów oglądać skutek:
„Wzgardziłem dumnie pokazać im smutek!
„Lecz pokazałem lice zimne, szczere,
„Już podniesione nad zwyczajną sferę:
„Już w tej krainie cichej, wnętrznej burzy,
„Gdzie nawet czoła śmierć ojca nie chmurzy.
„Ale przechodzi wszystko ziemskie, mija —
„Jady nie trują i miecz nie zabija.
„Pokazałem im tę niezmienność czoła,
„Które zmroziło dotknięcie anioła.
„Wytłomaczyli to ludzie inaczej,
„Ten marmur bólu — tę ciszę rozpaczy."

XXVI.

„Ty wiesz że dumni nieszczęściem, nie mogą
„Za innych śladem iść tą samą drogą.
„A gdy się duma z nieszczęścia wylęgnie,
„To i Bóg czoła takiego nie sięgnie —
„To nawet wiara nie pochyli głowy:
„A cóż dopiero piorun, miecz, okowy,
„A nawet ludzkie przekleństwo i wzgarda?
„Tak była ciemna, taka była harda
„Duma w tem sercu. Na co mię przywiodła —
„Ty wiesz — lecz duszy nie sądź, bo nie podła.
„Jam się nie rzucił jak koń do zawodu,
„Ja sam stanąłem przeciwko narodu!
„A gdym się oprzeć musiał w rzeczy ciągu,
„To się na wielkim oparłem posągu.
„I nie szukałbym był podpory wroga,
„Gdybym większego znalazł w sercu — Boga."

XXVII.

„Nie uniewinniam ja siebie, o książe! —
„Jakie mię gryzły tu w tej piersi węże,
„Jakie po nocach walki obłąkane
„Z pamięcią, dumą — zaczęte, wytrwane!
„Aż sumieniowi uczyniłem zadość:
„Świadczą te oczy, to czoło, ta bladość.
„O! trzeba było siadać nad mem łożem! —
„Gdy we śnie serce mi coś pruło nożem! —
„Gdy się budziłem w noc bez-księżycową,
„W ciemności, ze krwi piorunem nad głową.
„Albo widm okiem do łoża przybity,
„Zimny, i łzami, i potem okryty,
„Nie widząc czemu serce drży boleśnie.
„Mówią, żem chodził po pałacu we śnie —
„Nie wiem — lecz nieraz gdy sen ciężki spadał,
„Możem wstał, chodził, płakał, jęczał, gadał —

„Możem z krwi rękę o rękę ocierał,
„Możem zabijał i trumny otwierał,
„Możem się dzielił z kim jaką mogiłą —
„Nie wiem — bo o tem mi się wszystkiem śniło.
„I nawet dzisiaj na mnie krew czerwona,
„Na głowie. — Gdzie jest moja druga żona?“ —

XXVIII.

„Stój! Stój! Nie szukaj tej kobiety ojcze. —
„Od innych ciosy okropne, zabójcze.
„Lecz od niej gorsze ja rany poniosłem.
„Ona zrobiła że śmierć kraju zniosłem.
„Anioł piękności i wróg nieodstępny,
„Stała, gdy z hańbą walczyłem posępny.
„Com cierpiał w sobie i com czuł — nie czuła,
„Co w sercu mojem zmartwychwstało — struła,
„Aż przyszło wreszcie że dziś, jędza blada — —
„Lecz z tego niechaj ona się spowiada,
„To na jej sercu, to je kiedyś zrani.
„Patrz! Ja ten ogród zasadziłem dla niej,
„Te drzewa, łąki, tam niby w obłędzie
„Strumienie i na błękitach łabędzie,
„I ta z marmuru „carrara“ łazienka —
„To dla niej. — Patrzę, i serce mi pęka;
„Bo to zostanie po mnie wszystko — długo — —
„O! gdybym to mógł jaką krwawą strugą
„Zalać i zniszczyć i duszę wyzionąć,
„I z zamkiem i z nią i z wszystkiem utonąć!
„Zostawić gruzy leżące na pował.
„Którychby człowiek nie znał, nie żałował.
„Nie myślał o mnie — tu błądząc, nie gadał:
„Że tutaj zdrajca chodził, dumał, siadał,
„Tu się śmiał z Boga, a tutaj łzy ronił —
„A tu się w grocie kaskadą zasłonił.
„Bojąc się słońca co tę ziemię złoci,
„I żył jak węże w zimnie i wilgoci!“ —

XXIX.

„Miłość ojczyzny — o! to słońce świetne
„Dla serc, co dumne, sieroce, szlachetne,
„Całe się czystym miłościom oddadzą.
„Jako żórawie, co łańcuch prowadzą —
„Świetniejsze serca wylatują przodem,
„Umrą — ich duchy lecą przed narodem,
„Ich wrzask, ich imię, ich lament — to hasła.
„Gdy matka po nich zapłakana wrzasła,
„Ojczyzna cała słyszy, leci, mści się;
„W gołębiach wtenczas są serca tygrysie.
„Umrą wygnani, to naród wysyła
„Posłów — zapraszać, niech wróci mogiła.
„A choćby nawet zapomnienie, nędza,
„Jednego pacierz nad mogiłą księdza,
„I wieczna cisza w grobie niepłakanym:
„O! ja zazdroszczę tym czystym, nieznanym,
„Ja, co się aż tam, aż do słońca darłem —
„O! czemu ja też dzieckiem nie umarłem!
„Czemu! — Ach, wtenczas, księże, nie dla sławy,
„Lecz przyleciałem był raz na bój krwawy,
„Ażeby umrzeć. — Na Boga żywego,
„Jabym się teraz nie miał chełpić z czego! —
„Szyki się biły pod Maciejowicą:
„Wleciałem, ściśle zamknięty przyłbicą.
„Dziwny był ubiór, ale to miał zyskiem,
„Ze nie witano mię zdrajcy nazwiskiem;
„Wreszcie i armat zakryłem się błyskiem.
„I smutny w sobie, wpadłem we krwi morze.
„Słyszałeś o tym żelaźnym upiorze?
„Długo to było między ludźmi sporem,
„Kto był tym w ogniu rąbiącym upiorem.
„O śmierci! ludzi tysiącznych morderca!
„Nie chciałaś wtenczas tej krwi, tego serca! —
„Lont nie chciał armat przedemną zapalać;
„Kule się bały we krwi mojej zwalać,

„I omijały, świszcząc koło ucha:
„Miecz mój po kaskach dzwonił jak miecz ducha.
„Los miał okropną zbawić mię bezczelność —
„Jam był ubrany w straszną nieśmiertelność.
„Jaka w tem wola Boska! nie odgadnę.
„I nie chcę myśleć — lecz gdy myślę, bladnę.
„Sam na tem polu, gdzie psów wściekłych kupa,
„Na koniu, nakształt siedzącego trupa!
„Gdy z ciał wychodził obłok krwawy, dymny,
„Gdy księżyc wschodził straszny, blady, zimny,
„Stałem — wtem jeden z niedomarłych, blisko,
„Wymówił moje przeklęte nazwisko:
„Schylam się z konia — patrzę: krwią się broczy,
„I krew mi swoją ten człek rzucił w oczy.
„Dobyłem miecza — o! nie bladnij, księże! —
„Choć syknął na mnie ten, gorzej jak węże,
„Chociaż mię taką pieczęcią naznaczył,
„Jam go nie dobił, alem nie przebaczył.“

XXX.

„Księże — gdzie teraz Kościuszko? — w mogile —
„Kiedy żył jeszcze, były takie chwile,
„Żem ja był wrogiem jego świetnej sławy.
„Chciałbym dziś widzieć cień jego postawy,
„Albo grobowiec przy bladych lawinach:
„Musi być smutny nad nim szmer w drzewinach.
„Smutne tam duchy błądzą w księżyc świetny,
„Wołając: ojcze! — Choć on był bezdzietny.
„Mówią, że idąc za trumny orszakiem,
„Koń jego stawał przed każdym żebrakiem,
„Tak nauczony za życia rycerza.
„To wszystko, księże! serce mi rozszerza,
„Łez pełne, burzę zapowiada ciemną.
„Patrzaj, co stało się z nim — a co ze mną?“

XXXI.

„Obróć tu księże twe łzawe oblicze —
„Ileż ja w życiu chwil okropnych liczę!
„Słuchaj, po śmierci kraju, już shańbiony,
„Dom odwiedzałem mojej pierwszej żony.
„O! co ja czułem, gdy lip poczet stary
„Zaczął nademną swoje smutne gwary —
„Kiedy się miesiąc w liść zabłąkał szumny!
„Ja, co tam żyłem młody, jasny, dumny,
„Z nią razem, ojcze! Ja, co w tej krainie
„Myślałem niegdyś, że młodość nie minie! —
„Wchodzę — trzy razy wspomniałem o Bogu,
„Trzy razy, blady, przejść nie mogłem progu.
„Przeszedłem wreszcie — w komnatach nikogo —
„Ściany się zdały napełnione trwogą,
„Że mię tam widzą samego w ciemności;
„Ale w powietrzu jakiś szmer litości,
„I coś szeptało: „Nie płacz!“ z każdej cegły —
„A mnie ogromne łzy po twarzy biegły.
„Na cóż to przyszedł ów Wacław wyniosły,
„Chwasty go same w tym gmachu przerosły.
„Sam — o bogdajbym był sam! o shańbienie!
„Starzec wychodzi w księżyca promienie,
„Poznaję — mój teść — przy niepewnym świecie
„Widzę, że w ręku ma jakieś zawicie;
„Twarz jego dzika, okropna, surowa —
„Rozwija — patrzę — ojca mego głowa!
„Po śmierci zemsty bezczelnej dokazał:
„Wyjął z mogiły trupa i ściąć kazał.

XXXII.

„Tak to mi starzec zwiędłe serce kruszy!
„Tak to anielstwo wypędzono z duszy!
„Tak to myśleli, że mię zdeptać mogą —
„Aż się od hańby obroniłem trwogą!

„Lecz nie pomogło — bo jak od zwierciadła,
„Od ludzi trwoga ta na mnie upadła.
„Bo wyschły jak trup, po uczuć pogrzebie,
„Jąłem się lękać nie Boga, lecz siebie.
„Więc niech się skończy ten los, co mi cięży.
„Niech w nieskończoność dusza się rozpręży;
„Wszystko straszliwe, co się w serce ciśnie,
„Niech się jak piorun wyrwie i rozbłyśnie.
„Niechaj część każda pokalanej duszy
„Dozna właściwych bolów i katuszy.
„Lecz niechaj wszystko to w jednym mordercu
„Zamknięte, w jednem nie gryzie się sercu.
„O! były chwile okropne na świecie!
„I ta noc —! Księże — pociesz ty mię przecie!
„Czy ty łzy tylko masz dla mnie z pacierzem?
„Dla mnie, co stoję nad śmierci wybrzeżem!
„Co tu widziałem, pełną tajemnicy
„Śmierć w synka mego błękitnej źrenicy.
„Okropność! Jego usteczka różane,
„Miłością jakąś obłąkane, pjane,
„Z ognia oddechem, z lutniowemi gwary,
„Pocałunkami tu goniły mary.
„Widziałem moje sny młodości złote:
„Zachwyty, miłość, niepokój, tęsknotę,
„Wydane dziecka niewinnem obliczem.
„Lecz on kochał nic, nie tęsknił za niczem,
„A jednak tęsknił i kochał — — Widziałem,
„Jak się w coś wpatrzył z obłąkania szałem.
„Myślałem — biedny! Czego on się męczy?
„Łabędź, w jeziora zakochał się tęczy —
„Umarł nim zgasła, nie doczekał nocy.
„Lecz ile było w nim ognia i mocy!
„Jakie wyrazy tęskne, smutne, śliczne,
„Długo-echowe i melancholiczne
„Z ust mu jęczały! Była jedna chwila —
„Myślałem że mu skrzydełka motyla
„Z ramion wyrosną, że główka zaświeci

„Ogniem niebieskim i w niebo uleci;
„Bo na paluszkach wstał, rosnął w człowieka;
„Myślałem że już odemnie ucieka! —
„Wrócił — przy nogach mi go ból pokonał,
„W godzinie jednej kochał, cierpiał, skonał.
„O, cud okropny! Co iskrę słoneczną
„W serduszku dziecka zamknął — miłość wieczną.
„To, co ja dotąd w mojem sercu mieszczę,
„To go zabiło — a ja cierpię jeszcze!
„I jeszcze kocham i widzę to jawniej
„W sercu, przed śmiercią, że kocham jak dawniej.
„Tu! z krzyżem, księże! tu stawaj u czoła!
„Niechaj myśl moja tych snów nie wywoła —
„Niech nie przychodzi tu jej cień bladawy — —
„Przyszła! — Tam za nią stoi ojciec krwawy,
„Włos jego siwy. — O! to męki moje!
„Ta para, ludzi tych w powietrzu dwoje!
„A jednak twarze to może jedyne,
„Co odpuszczają mi hańbę i winę —
„Co widząc dolę znękanego twardą,
„Jak inni ludzie, nie patrzą ze wzgardą! —
„Mario! nie idź za księżyc się chować,
„Dobrze żeś przyszła się tu ulitować!
„Dobrze żeś mi się duchem pokazała,
„Taka posępna, i cicha, i biała,
„Jak gdyby za mną w mogile tęskniąca! —
„Mario! czekaj zachodu miesiąca —
„Pójdziemy razem — gdzie? — Ja nie wiem. —
„Wkrótce me ciało już ziemię zalęże, [Księże!
„Na długie słowa już mi braknie czasu.
„Każ uszyć nową jej suknię z atłasu,
„Każ włożyć wianek z róż świeżych uwity,
„Niech ją obmyją, ubiorą — kobiety —
„Pamiętaj — trumna to od wejścia czwarta —
„Patrz, jak ta szata już na niej podarta.
„Czy dobrze? — Zrób to, nim promienie świtu —
„Patrz — uśmiechnęła się na to z błękitu — —“

XXXIII.

„Nie mów nikomu o mnie, sługo Boży!
„Niech mój grobowiec ludzi długo trwoży.
„Weź i tę chustę — choć krwią powalana,
„Możesz ją złożyć przed ołtarzem Pana.
„Albo — — Dla czegoś drgnął przed tym roskazem
„Powieś tę chustę przed Panny obrazem —
„Musi być święta ta krew, co ją broczy,
„Bo mi ją kiedyś naród rzucił w oczy.
„Więc to męczeństwo pobladłego czoła,
„To mój ostatni jest dar dla kościoła.
„I jam coś ciernia czuł w mojej rospaczy:
„Może Bóg wspomni na to i przebaczy.
„Żalu mojego najlepszą jest próbą
„To upodlenie się moje — przed sobą.
„Co będzie z moim duchem nad mogiłą?
„Pewnie nie gorzej, jak to co już było.
„W dumie mej jeszcze przynajmniej znachodzę,
„Że mię przed śmiercią broni uledz trwodze.
„Gdy przy tem łożu nic, tylko rospacze —
„Gdyby mniej dumny, płakałbym i płaczę.
„Lecz coś jest we mnie, gdy w grób muszę wchodzić,
„Z czem by się żadne łzy nie mogły zgodzić.
„Wściekłość na siebie, żar co się nie studzi,
„A nawet, księże! Jakiś żal do ludzi:
„Jak gdyby oni byli winni zdawna,
„Że się krew we mnie zaczerniła sławna.
„Lecz nie — i myśl ta nie może pocieszyć.
„To wszystko. — Księże, czy śmiesz mię rozgrzeszyć?
„Olej, co czyni w Bogu śmierć wesołą,
„Czy się odważysz lać na zdrajcy czoło?
„Jam nie żałował i nic nie naprawił,
„Kraj jeszcze we krwi — a jam go zakrwawił;
„I długo będzie ta krew po mnie płynąć!
„Tysiące walczyć i tysiące ginąć — —

„Po mnie nieszczęścia więzienia i wojny —
„I mógłżebym ja w grobie spać spokojny?
„O, nie! Nadzieja jest szaleństwem dla mnie —
„A jednak — starcze! Ty módl się i za mnie — —!“

XXXIV.

Graf Wacław skonał. O, domysłów płonność!
Na lice wyszła trucizny zieloność —
Ale krew jego już dawno zepsuta.
Ciągła samotność, łzy, wzgarda, pokuta,
To nieraz także te trucizny duszy
Wyjdą na ciało, zwiędłe od katuszy —
I nieraz lice trupowi odmienią,
Połamią, poskrzą, zsinią, pozielenią.
Więc może i te splamienia Wacława
Nie z gwałtu poszły, lecz z natury prawa;
Lepiej tak wierzyć, niż oskarżać ludzi.
Niech się podstępna ciekawość nie trudzi;
Gdy ziemia z siebie rzecz przeklętą zruci,
Niechaj spokojność w tłum zmięszany wróci.
Lecz nie! Ten zamek wre skargą i gwarem!
Domysły rosną z niepokojem, swarem.
Mówią że pani chciała ukryć winę;
Mówią że miała otrucia przyczynę —
Jaką? — Nie można wierzyć w takie baśnie.
Miałażby otruć małżonka — a właśnie
Zadatek nowej miłości i wiary
W jej łonie? — Po cóż przy kołysce mary?

XXXV.

Po ukraińskich stepach syczą żmije:
Pogrzeb się czarny z pochodniami wije,
A za pogrzebem groźny wicher wyje.
Smutno, posępnie przez kurhany płynie,
Pogrzeb możnego pana w Ukrainie.

Z każdej mogiły ognista kolumna
Wytryska w niebo. gdy nadchodzi trumna.
Już przeminęła, a jeszcze czerwono
Wszystkie kurhany w Ukrainie płoną,
I rozmawiają cicho o pogrzebie.
Gwar na tym stepie. a cisza na niebie.
W ziemi grobowej głucha trupów wrzawa.
Bo między nimi stanął trup Wacława.

XXXVI.

Człowiek? Czy widno? — Jakiś duch z burzanu
Wyszedł na czoło ogniste kurhanu,
Pogroził ręką: „Zdrajco! otóż tobie
„Trucizna — w przodków wypróchniałym grobie!
„Idź trumno czarna z ohydnym człowiekiem,
„Z trupem, co mojem wykarmiony mlekiem.
„Idź w ogień piekła za narodu zdradę!
„W kołyskę kładłam i w prochy cię kładę.
„Dzieciątko moje ty i moja żmija —
„Ziemia cię zmrozi, robaki spowiją!
„A choć krew twoja kiedyś winę zmaże,
„Tego ci Pan Bóg zwiastować nie każe.
„Choć Ukraina kiedyś zmartwychwstanie,
„Ty się nie dowiesz w piekle — ty szatanie!
„Nic się nie zmieni, wieczność się zaczyna,
„A wieczność taka jak śmierci godzina!“ —
Tak pożegnawszy resztki pana zgniłe,
Zapadła wiedźma w burzan, czy w mogiłę.

XXXVII.

I znów na zamku jasnych świateł krocie,
Księżyc w ogrodach, szum kaskady w grocie,
I znów tam cicho, i kaskada grzmiąca
Znowu się srebrzy na blasku miesiąca.

Mówią że łabędź i róża czerwona
Szepcą w powietrzu imię Eoljona —
Gdy wszystko scichnie wieczorną godziną,
Gdy róże płaczą i łabędzie płyną.
A o dzieciątku tym z twarzyczką ducha
Została jakaś ciemna powieść, głucha.
Mówią, że raz go widziano w tej grocie,
Całego w gwiazdach, w promienistem złocie:
Duchy powietrzne, za tęczowę szarfę,
Przyniosły jemu zapaloną harfę.
Usiadł — do ognia strun przybliżył ręki:
A pierwsze z harfy westchnienia i dźwięki
Zwołały wszystkie łabędzie z ogrodu;
A drugie tony, jak jęki narodu,
Co cicho konać i cierpieć nie umie,
Zrobiły szelest w tym łabędzi tłumie.
A gdy śpiewaka pieśń i tony rosły,
Wszystkie się razem łabędzie podniosły,
I poleciały płaczącym orszakiem
W niebo gwiazdziste, z harfą, za śpiewakiem!
I znikły, długo widziane na górze,
Jak girlandami spięte białe róże,
Ulatujące w niebieskie krainy,
Dosłuchać harfy tej cudnej dzieciny.
Nie wiem czy wierzyć — lecz cuda są wszędzie —
I odtąd znikły w ogrodach łabędzie,
I szafirowych wód nie krają łonem,
Bo poleciały wszystkie z Eoljonem.
A Bóg nam wieszczów zostawiać nie raczy,
Odkąd zabrakło już białych słuchaczy.

WIDZENIE O WACŁAWIE

Z POEMATU:

PIAST DANTYSZEK

PRZEZ

JULJUSZA SŁOWACKIEGO.

Ledwom wymówił: O! rzecz nie do wiary!
Ręka zwyczajnej jakby ludzkiej miary
Na krwawym słupie przybita, krwią ścieka,
I pokazuje w ciemności zdaleka
Jakąś ohydną rzecz — czoło człowieka.

Siedział w podziemnej utajony grocie,
Oddany strasznej jędzy w straż — zgryzocie.
Włos, najeżony strachem winowajcy,
Wstał na haniebnem, bladem czole zdrajcy.
I straszne w oczach było przerażenie,
Albowiem w grocie jęczały kamienie.
Wicher napędzał mu przez korytarze
Błąkające się ognie, trupów twarze;
A zaś oblicza i sine ogniska
Szły przypatrywać mu się — stojąc z bliska.
Między ogniami, co przyszły na straże,
Krwią osykany przez upiorów twarze,
Jak człowiek własną uznający winę,
Pokornie krwawą ich ocierał ślinę.
A kiedy jęki ozwały się w grobie,
Do ust po kostki wkładał ręce obie,
Widać miał w bolu słuchowi obronę,
Bo gryzł — i z paszczy wyciągał czerwone.

Już chciałem uciąć szablicą te ręce,
Krwawe jak szpony orle, lub zwierzęce,
Nie zemstą, ale litością ruszony,
Gdy nagle biała mara jego żony
Wybiega, klęka i oczy podnosi:
I tak na rany Chrystusowe prosi:
Panie! ty ojca mojego masz lice,
I taki kontusz i taką szablicę,
Więc ci aż do nóg bolesna upadnę,
I do serca się twego łzami wkradnę;
I w niebie mojej ustąpię światłości,
Za jedną nad nim tylko łzę litości!
Słuchaj! ja niegdyś utopiona w stawie
Teraz jak mara — jak błędne żórawie,
Ciągle ja latam i ciągle mi droga
Od gwiazd do męża, od męża do Boga.
A jeszczem biedna nie mogła wyjęczeć,
Aby go jęki te przestały dręczyć!
Bo cała tutaj ojczyzna zabita
Przychodzi płakać, i jęczy, i zgrzyta —
I wali głuchą przekleństwa ulewą
Na mego męża, jak na zwiędłe drzewo!
Cała ojczyzna i wszyscy umarli
Tutaj przychodzą, aby go rozdarli.
O! jakie serca wy macie tygrysie!
O! jak ojczyzna wasza długo mści się! —
I czyż tak będzie od wieku do wieku?
Wyproś ty dla nas litości człowieku!
Wyproś! ja będę modlitwom przytomną,
Jeśli przebaczyć nie chcą — niech zapomną!
Jeśli ich nasza męka nie roztkliwi,
Niech myślą że my byli tak — szczęśliwi!
Od nas, niesione błękitami wody,
Pary łabędzi uczyły się zgody.
Od nas uczyły się śnieżyste szyje,
Chować pod skrzydło te, gdzie serce bije.
Słońce lubiło zaglądać w aleje,

Gdzie na nim niegdyś moja postać mdleje —
Po kwiatach wietrzyk biegł i czoło chłodził,
I księżyc prędzej na niebo przychodził.
A ja, spojona szczęściem i rozrzutna,
Każdą mu gwiazdę, co wschodziła smutna,
Lubiłam dawać, jak dziecinka pusta,
I każdą jego nazywać imieniem:
Bo mię za każdą on całował w usta — —
Starcze, pogadaj ty, proszę z sumieniem!
Bo mi się zdaje tonącej w rospaczy,
Gdy ty przebaczysz i Bóg nam przebaczy. —

Tak mię prosiła: a na głos słowika
Serce się ludzie choć stare odmyka.
Patrz — o! bielutka! — patrz — ta pochlebnica!
Twój kontusz, mówi, i twoja szablica
Z ojcem ci moim podobieństwo dały —
O, ty litośny! o, ty nie ze skały! —
Jakże się ostać przed takiemi prośby?
Twarzą już tylko udawałem groźby,
A już mi serce kruszyło się, miękło —
Już nad nią dwie łez roztopionych pękło —
Już wyciągałem ręce — wtem ta blada
Leci do męża, na serce mu pada.
A nędzarz blady jak płócienna chusta,
W jej piersi oczy pochował i usta.

Patrzę — o zgroza! — z pod kruczych warkoczy
Wstążeczka się krwi koralowej toczy,
I plami narcys ten litości srebrny!
On ją ukąsił — zbrodniarz! o haniebny!!
Jękła i nagle od ssącej gadziny
Pierś oderwała. A trup blady, siny,
Oczy zbłąkane obraca w około —
O niczem nie wie to haniebne czoło!
Nigdy się oczy nie łzawią zielone:
A jednak spojrzał na krew i na żonę.

I wyszły z oczu mu dwie łzy tułacze!
Wyszły — a piekło wrzasło: zdrajca płacze,
Tu zadziwieni ciemni aniołowie.
Zaczęli śmiać się i wyć mu na głowie.
Tu się tajemne rozjęczały ściany:
Tu wyszły plamy z ognia, tu szatany —
Wszystko co było w gmachu i za gmachem,
Wabi się z tych łez ohydnym zapachem:
Tu wzrok płaczący, tu wzrok widać sowi,
Urągający zdrajcy lamentowi.
A jeszcze dalej duchowie zaskalni,
Z po za ścian, słychać, płaczą niewidzialni.
Chwieje się piekło, wre krzykiem i łzami —
Uciekłem — uszy zakrywszy rękami.

Widziałem rzeczy straszne i żałobne.
Widziałem ludzi do wężów podobne,
I zrastające się ich ciała z gadem:
Ale ten zdrajca ośliniony jadem,
Ale ten własne gryzący piszczele,
Ale ten blady w lamentów kościele,
Oplwany całą krwią zdradzoną w oczy:
Ale ten straszny, co psim zębem broczy
Białą pierś żony i bolem się żywi,
A gdy zapłacze, to piekło zadziwi —
Ten jeden z myśli mi trupy wygonił,
I zadziwiłem się, żem łzę uronił.
O! bo to sercom Polaka nie trudna,
Przebaczyć ręce, co krwią naszą brudna:
Przebaczyć zdrajcy prochom i mogiłom,
Zapomnieć nawet — a to jeden wyłom
Zrobiony ręką ich w kraju budowie,
Położył gruzy nam całe na głowie:
A to więc mieczem ich podcięta jodła
Uschła i mieszka w niej gadzina podła!

PRZYPISY I OBJAŚNIENIA.

PRZYPISY.

Strona 10.

1) Minął już kozak bezdnie i głębokie jary.

Na Rusi, ledwo nie w każdej wiosce, znajdują się źródła lub studnie osądzone przez pospólstwo za tak głębokie, że im dna brakuje; ale zato każda z tych otchłani wsławiona jaką nadzwyczajną powieścią, a czasem od duchów strzeżona.

Strona 14.

2) Ten uśmiech, w którym może choć część zachwycenia,
Z jakiem wybrani słyszą cherubinów pienia.

Wyraz zachwycenia. który dla tego może tak jest ujmującym w pięknej twarzy że jeszcze coś piękniejszego zwiastuje, nie pozwala utrwalić żadnym opisem swego ślicznego zapomnienia się; a tylko pędzel Rafaela, w obrazie ś. Cecylji, zatrzymać go potrafił w całym uroku, jakiemu się nikt prócz wyobraźni nie wypatrywał. Tu ś. Cecylja, lubowniczka muzyki, wystawiona jest w tem malowidle śród narzędzi muzycznych, w chwili, gdy ją dochodzi odgłos anielskiej harmonji; i nie masz słów któreby opowiedzieć umiały uczucie

jakiem uderzona jej postać: zdaje się że jej dusza rospierzcha się i żeni z każdym z tych słodkich dźwięków, kiedy wdzięczna skromność hamuje ją zamyśleniem, że nie warta tak niepojętego szczęścia, a śród roskoszy nieznanych jej sercu wkrada się smutek, że już muzyka ziemska bawić ją przestanie. Największa prostota panuje w całym układzie tego obrazu, twarz nawet ś. Cecylji mniej ładna niż twarze niewiast w innych obrazach tego malarza: sama jedynie myśl genjuszu świeci od wieków w tem szacownem płótnie i nieopisanym wdziękiem do siebie pociąga. Obraz ten znajduje się w Bolonji, i jest policzony przez znawców w rzędzie najsławniejszych Rafaela, a co do swego poetycznego wrażenia, i mego widzimisię, najpiękniejszy jaki wydało malarstwo.

Strona 16.

3) Podobna do owoców umarłego morza.

Wiele pięknych przyrównań czytać można angielskich poetów do tych szczególnych owoców które rosnąć mają nad brzegami jeziora Asphaltes, znanego pod imieniem martwego morza.

„Like to the apples on the Dead Sea' shore,
„All ashes to the taste."

Byron. Harold's pilgrimage, III.

„Like Dead Sea fruits, that tempt the eye,
„But turn to ashes an the lips."

T. Moore. Lalla Rookh, I. 22

Strona 16.

4) A że nad przepych świata i blasków pozory,
Widniejsze pióra białe zniżonej pokory.

Wyrażenie to, stosowne do ducha religji chrześciańskiej, nie jest może niewłaściwem i co do sposobu pod jakim się przedstawiają oku, w znacznej wysokości, utwory dumy lub dowcipu człowieka, sama nawet piękność natury którą mu dojrzeć pozwolono. W podróży mojej na szczyt góry Montblanc, gdzie przez dwie godziny pobytu doznałem uczuć, jakich już zapewne w życiu mojem nie doświadczę, w podróży tej straciłem żywy z oczu i z myśli dziedzinę na której panuje człowiek — i tylko z jego siedziby przedmioty białej farby, a te właśnie których swą władzą odmienić nie zdołał, rozróżnić się dawały: i tak, widoczne były jeziora genewskie, Neuszatel, Morat, Bienne i t. d., jakby rozciągnięte na mroku żagle, kiedy domy, miasta nad ich brzegami stojące, barwy, płaski, ciemną mgłę tworzyły. Podobnie, rozpoznać było można lodozwały (glaciers), kiedy łąki, lasy, góry nawet znacznej wyniosłości lecz niższego rzędu, w szary koło nich mięszały się tuman. Nic jednak wspanialszego i dzikszego jak widok góry Montblanc; ale gdy różny zupełnie od znajomych widoków, inaczej go sobie wyobrazić nie podobna, jak wystawując się uniesionym przez jakiego dobrego czy złego ducha, w chwili gdy Bóg chaos utwarzał. Wszystko co dziełem człeka, znika przez swoją małość; tysiące gór olbrzymich z granitowemi szczytami lub śnieżnemi tarczami, niebo prawie czarnego koloru, słońce przyćmione, blask rażący od śniegu, rzadkie powietrze, a stąd krótki oddech i szybkie bicie pulsu, nadludzkiem

jakiemś czuciem i uczuciem przejmują śmiertelnika: i pewny jestem iż oprócz innych przyczyn, nawet dla niezmiernej różnicy tego dziwnie górnego widoku a słabości naszych zmysłów, nikt by go długo znieść nie potrafił. Niech to wspomnienie nadzwyczajnego zajęcia jakiego doświadczyłem na tej ogromnej i odosobnionej górze, nie będzie powodem żadnemu z naszych młodych wędrowników do przedsięwzięcia tej podróży; oprócz wielkiego bardzo trudu i niebezpieczeństw koniecznie do tego zamiaru przywiązanych, jeszcze jego pomyślny skutek od wielu obcych nam okoliczności zależy. Trzy dni pogody bez najmniejszej chmury i niezbyt rozmiękłe śniegi, prawie potrzebniejszą pomocą, niż najcierpliwsza wytrwałość i najmocniejsze piersi: bez tych jednak warunków tylko na zgubę narazić się można, i byłoby najszkodliwszym uporem nie słuchać ostrzeżeń przewodników, którzy wszędzie w Szwajcarji a szczególniej w Chamouni *pełni* są odwagi i rozsądku.

Strona 19.

5) I mignie mu pod oczy święconym obrazkiem.

Zdarzyło mi się widzieć szczególną w tym rodzaju pamiątkę. Na szabli tureckiej, gdzie wzdłuż klingi wypisane były zdania z alkoranu, znajdował się wyryty przy rękojeści wizerunek N. Panny z napisem polskim gockiemi literami. Szabla ta należała do jednego Anglika, który ją we Włoszech nabył; dalekie więc a zapewne nieraz i krwawe odbywała podróże. Szkoda tylko iż w napisie nie było ani roku, ani przez kogo zdobyta.

Strona 24.

6) Suto stoły zastawić, nie szczędzić korzeni.

O guście przodków naszych w korzennych zaprawach, wiele ciekawych opisów czytać można w szacownym i zajmującym zbiorze: Pamiętniki o dawnej Polsce przez Juljana Niemcewicza.

Strona 36.

7) A ktoby się miał straszyć tatarskiego tańca.

„Od Tamerlana podane prawidła zachowywali „Tatarzy i to nazywali nasi dziadowie tańcem „tatarskim.“ Czacki o litewskich i polskich prawach k. 235, przypis 111.

Strona 37.

8) Co śród gęstych zarośli, niedościgłe szlaki
Tłoczą na wszystkie strony, dla mylnej poznaki.

„Stepy te wysoką okryte trawą. Nie można „jechać przez nią by jej nie stratować; dla nie„poznania więc toru i śladów używają Tatarzy „następującego wybiegu. Wnosząc, że ich jest „400, dzielą się na cztery części po sto, część „jedna idzie na zachód, druga na wschód, trzecia „na południe, czwarta na północ; każda część „uszedłszy półtorej mili dzieli się na cztery części, „postępuje dalej i znów się dzieli, tak że na końcu „nie będzie jak po 10 lub 11 w hufcu, wszyscy „jadą sporym kłusem; kiedy są postrzeżeni, każdy „hufiec ucieka w swą stronę; tak trafnie kierując „się przez stepy dochodzą do przeznaczego miejsca,

„jak najlepszy żeglarz kompasem swoim lepiej „kierować się nie może. Pędzący za nimi ko„zacy, trafiając na labirynt potratowanych przez „nich ścieżek, nie wiedzą w którą stronę gonić „za nimi.“ Opisanie Ukrainy polskiej przez Beauplana: w Pamiętnikach o dawnej Polsce J. Niemcewicza tom III, karta 373.

Strona 39.

9) Czy struny natężone tkliwych władz wysnuciem,
Tknięte ręką nieszczęścia, zabrzmiały przeczuciem?

Granice władz naszych umysłowych, bez wątpienia ścieśnione są niezmiernie, w stosunku nieskończoności która nas otacza: ale gdy to czego pojąć nie możemy za niepodobne uznamy, tak trudno i mało pojmując, staniemy się podobni do tego sceptyka z komedji, który dla tego tylko wierzył że żyje, że się mógł w każdej chwili pomacać. Nie będę ja tu rozprawiał na obronę tych dwoch wierszy, jak to być może ażeby ludzie przewidywali czasem przyszłe i odległe zdarzenia, lub czy sprawdzenie, zwłaszcza szkodliwego nam przeczucia, właśnie od ufności w nie pochodzi; nie będę przywodził znajomych przykładów dawnej i nowożytnej historji: wspomnę o szczególnym i bliskim nas wypadku, który się wiąże z nieodżałowaną dla kraju stratą. Sławny Tadeusz Czacki, niepospolity licznym zbiorem swoich wiadomości, rzadszy jeszcze zupełnem zapomnieniem siebie dla publicznego dobra, który w tylu sercach istnieje hołdem najczystszej wdzięczności, oświadczał nieraz swoim przyjaciołom, iż ważniejszych okoliczności swego życia zawsze się wprzód

przecznciem dowiadywał; śmierć nawet jego poprzedzona była niepojętem ostrzeżeniem. Na kilka dni przed swoją krótką chorobą i zgonem upewniał domowników, iż będąc w swoich pokojach, zdawało mu się że widział umierającego swego przyjaciela i krewnego jenerała Karwickiego, który go wołał do siebie; jakoż dziwnie i okropnie sprawdziły się te słowa, gdy w kilka dni przyszła wiadomość o śmierci jenerała Karwickiego mieszkającego o mil kilkadziesiąt, a wkrótce i Czacki poszedł się połączyć z wzywającym go przyjacielem. Lecz jakże wierzyć w podobne powieści, i nie sprowadzić uśmiechu na twarz oziębłą rozwagi? Fizyków i metafizyków o pozwolenie prosić wypada: do których powiedziećby można z Shakespearem: „There are more „things in heav'n and earth, than are dreamt of „in our philosophy.“ — (Są rzeczy na ziemi i w niebie, o których nam się ani marzy w naszej filozofji.)

Strona 41.

10) Bór w lewo, strumień w prawo, a oni w półkole.

„Tatarzy radzi się potykają w polu równem, „pułki swe w około zgromadziwszy szykiem za„krzywionym, który pospolicie ludzie rycerscy „marsowym tańcem zowią, a na pierwszem pot„kaniu tak gęste strzały puszczają jako najgęstszy „grad.“ Kronika Gwagnina tłómaczenia Paszkowskiego kar. 593.

„Tatarowie zaś zwykłym tańcem, a nakształt „półmiesiąca zakrzywionym szykiem, różnie się „rozstrzelili.“ Kronika Marcina Stryjkowskiego karta 345.

Strona 43.

11) Czemuż choć jednej strzały nie mieli
w kołczanie,
Coby jadem jaszczurki utkwiła się
w ranie.

„Tatarzy strzały swe jadem jaszczurczym na„puszczają." Paszkowski dzieje tureckie kar. 15; patrz słownik Lindego pod wyrazem jaszczurka. Nieznalazłszy bowiem tej książki w bibliotece uniwerstetu warszawskiego, nie byłem w sposobności sprawdzenia tego wypisu.

Strona 52.

12) Wszyscy domowi: szlachta, panny,
giermki, draby.

Drab, żołnierz pieszy: p. słownik Lindego.

Strona 53.

13) Mniej straszna w swem nieszczęściu,
od wężów jedzona,
Wzór najsroższych męczarni: postać
Laokona.

Powszechnie wiadoma historja, a wielu z moich rodaków widziało sławny posąg, do którego stosuje się to przyrównanie.

DOKUMENTA
mające związek z Marją Malczewskiego.

I.

Działo się w króleskim zamku w Warszawie, w Sobotę przed uroczystością świętego Egidiusza Opata, to jest dnia 28 sierpnia, roku pańskiego tysiąc siedmset siedmdziesiątego trzeciego.

Przed urzędem i niniejszemi aktami grodzkiemi, starościńskiemi, warszawskiemi, stanąwszy osobiście jaśnie wielmożny Jakób hrabia Komorowski, kasztelan santocki, nowosielski, podlisiecki starosta, przedłożył temuż urzędowi i jego aktom swój manifest, w języku polskim napisany, następującej treści. Powszechne nieszczęście i rozmaite klęski po całym kraju rozszerzone, położyły tamę wymiarowi sprawiedliwości w całem prawie Królestwie, i wstrzymały pokrzywdzonych od wnoszenia skarg bezskutecznych, chociaż ich krzywdy były nieznośne i całemu społeczeństwu niebezpieczeństwem groziły. Prócz tego miłość, którą jaśnie wielmożny Stanisław hrabia Potocki, starosta bełzki od dawnego już czasu ku mojej córce powziął, miłość nie dająca się odstraszyć przedstawieniem dobrze wprzód obliczonych trudności, jakie stąd wyniknąć mogły, ta miłość przyzwoitym sposobem wzniecona, statecznie pielęgnowana, nie znajdująca się wreszcie niżej jego stanu, albowiem obie przezacne rodziny były już od dawna z sobą spokrewnione, wszelkiemi duchownemi obrzędami prawnie potwierdzona, nie płonną dawała otuchę, że jw. Franciszek

Salezy Potocki wojewoda kijowski, ojciec pomienionego jw. starosty bełzkiego, po spełnieniu na dniu 13 lutego 1771 roku szkaradnej zbrodni (niżej obszernie opisanej) ochłonąwszy z pierwszego gniewu, słusznością i prawami przekonany, zwyciężony sumieniem, pobudzony wreszcie opinją powszechną: że przez niego dany był rozkaz do wykonania tej zbrodni, chcąc udowodnić swoją niewinność, a temsamem zbić to krzywdzące o sobie mniemanie, nie zaniedbał zwrócić mężowi nieprawnie uwięzioną małżonkę, rodzicom gwałtem wydartą córkę, i uznać ją za żonę prawną swego syna, jak mu to jego powinność nakazowała. Niemniej można się było spodziewać po jw. staroście bełzkim, że powróciwszy z zagranicy, pierwsze swoje staranie w to włoży, aby wynaleźć ukochaną i wybraną przez siebie małżonkę, z czegoby się okazało, ile ma poważania dla tych, którzy mu rodowitością równi, ile posiada tęgości charakteru, tego przymiotu wielkodusznych, i ile sobie ceni wierność małżeńską, tylu obietnicami stwierdzoną, a co największa, dobrowolnie i rozmyślnie przed Bogiem zaprzysiężoną. Oto przyczyny, które mi zamykały usta tylekroć do przedłożenia krzywdy mnie i całemu społeczeństwu wyrządzonej gotowe, i powściągały rękę, do podania urzędownie napisanego manifestu wyciągnioną. Lecz gdy miasto spodziewanej poprawy, tak słuszne zobowiązania w niepamięć poszły, ba nawet ze wzgardą prawa odrzucone zostały, gdy na rozsądne i łagodne przedstawienia zacnych przyjaciół, nie dano dostatecznej odpowiedzi, a żądane z ich strony, z naszej zaś z powolnością zachowane milczenie o całej tej sprawie, po niedotrzymaniu z ich strony obietnic, pokazało się oczywistym podstępem, niemającym innego celu, jak tylko puszcze-

nie tej sprawy w przewłokę: ustaje tedy długiem oczekiwaniem znękana cierpliwość, a boleść powiększona przenikając wskroś serce, zmusza mię ogłosić przed całym światem moją żałobę. Słuchajcie i patrzcie wszyscy! z jaką zuchwałością rozpasana przemoc, wsparta bogactwy, targnęła się na zdeptanie równości, jak zemsta dumą rozdmuchnięta nie wzdrygała się dla dogodzenia swej żądzy okrutną z niewinności zrobić ofiarę, jak szkaradnie prawa boskie, duchowne i świeckie, miłości bliźniego i pospolitego bezpieczeństwa są pogwałcone tą od wieków niesłychaną zbrodnią, której wierny opis ze wszystkiemi szczegółami, jakie ją poprzedziły, dla oczyszczenia złośliwą obmową czernionej niewinności mojej i dla wykazania sprawcy tej zbrodni, pod sąd powszechny oddaję.

Bliskie sąsiedztwo i długoletnia przyjaźń dladomu jw. Potockiego wojewody kijowskiego, w której ja niniejszą żałobę zanoszący, zostawałem, łatwo nastręczała sposobność jw. staroście bełzkiemu częstego widywania najstarszej córki mojej imieniem Gertrudy, i rospatrzenia się w jej przymiotach, usilnem rodziców staraniem i hojnym nakładem na wychowanie odpowiedne przezacnemu jej rodowi do wysokiego doskonałości stopnia doprowadzonych. Te to przymioty, które jej szacunek powszechny zjednały, tak mocno ujęły serce jw. starosty, i tak wysoko przez niego były cenione, iż wróżąc sobie najpewniejsze na przyszłość szczęście, skoroby ją za towarzyszkę życia uzyskał, nieomieszkał oznajmić nam natychmiast, że pała ku niej najczystszą miłością i po dokładnej rozwadze, powziął myśl stanowczą starać się o jej rękę. Sama przyzwoitość i obowiązki należne przezacnego rodu młodzieńcowi, nie pozwalały

mi odrzucić tak uroczyście i dobitnie oznajmionego żądania jw. starosty. Wszelako nie zaniedbałem z mojej strony udzielić mu zbawiennej rady, aby przedewszystkiem odkrył ten zamiar swoim rodzicom i zastosował się w tej mierze do ich woli. Tej rady nie przyjął jw. starosta, dając tę pozorną przyczynę, że jest wprawdzie obowiązany powodować się wolą rodziców we wszystkich innych rzeczach, lecz co się tyczy wyboru przyszłej towarzyszki życia, sądzi to zan rzecz własnej swojej woli, upraszał przytem najusilniej, aby tego postanowienia jego nie rozgłaszać, i upewniał nas, że nie może stąd wyniknąć nic złego, albowiem ojciec nieraz mu przyrzekał dać przyzwolenie swoje na własny jego wybór, a na przypadek, gdyby tenże dla jakiejbądź przyczyny przyzwolenia swego nie dał, natenczas będzie można usunąć tę przeszkodę, częścią przez niepodobieństwo cofnienia tego, co się już raz stało, częścią przez usilne zabiegi. Jednakże dałem czas namyślenia się dobrze tak jw. staroście, jako i mojej córce: pozwoliłem im widywać się z sobą w naszej tylko, lub przyjaciół naszych przytomności; i ociągałem umyślnie blisko pół roku, mimo usilnych i ustawicznych nalegań jw. starosty, spełnienie jego żądania, w nadziei, że ta rzecz długo się ciągnąca doniesie się wreszcie do domu jw. wojewody, i rodzice dowiedzą się o zamiarze swego syna. A gdym stosowną ku temu celowi otrzymał wiadomość, że jw. wojewoda dowiedziawszy się o częstem bywaniu swojego syna w domu moim, kazał wołać do siebie koniuszego i innych sług, którzy mu w tych odwiedzinach towarzyszyli, grożąc pierwszemu utratą łaski i służby, drugim zaś karą surową, jeśliby się ważyli rozgłaszać tę okoliczność, która im tylko

samym wiadoma była: przecież ani synowi swemu nie zakazał bywać w moim domu, ani sługom słuchać jego roskazów? Natenczas wniosłem, ufając powyższym zapewnieniom, które mi dawał jw. starosta, że chociaż jw. wojewoda wie o skłonności swojego syna, jednakże nie znachodzi w tem nieprzyzwoitości i zdaje się na to przyzwalać, radby ją tylko, dla jakowychś jemu tylko wiadomych przyczyn, zachować przez czas niejaki w skrytości. Przekonawszy się w ciągu dawania przestróg, że jw. starosta w zamiarze swoim jest niewzruszony, a jego miłość najmniejszej nie ulega zmianie, z drugiej zaś strony ujrzawszy w córce mojej równą ku niemu przychylność, przyrzekłem mu jej rękę. Po odbytych więc zaręczynach, i otrzymanym od przewielebnego oficiała chełmskiego indulcie, na żądanie strony obojej (jak świadczy list jw. starosty, pełen uprzejmych nalegań), odbył się po kilku tygodniach w przytomności miejscowego parocha uczciwie i uroczyście ślub. Wzywam w tem miejscu wszystkich, niech wolnym i nieuprzedzonym umysłem, po dokładnem rozważeniu wszystkich szczegółów, rozstrzygną, czy rodzice, którzy dzieci swoje z wrodzonego popędu kochają, a przeto troskliwie ich szczęścia pragną, powinni się odstraszać początkowemi drobnemi trudnościami, na których rzadko gdzie zbywa, i nie dawać swego przyzwolenia na połączenie dwojga serc związanych czystą i stateczną przychylnością? A szczególniej wtedy, gdy równość urodzenia i wszelkich zaszczytów w ojczyznie, dojrzały wiek oblubieńca i według praw wszelkich należąca mu wolność obierania sobie stanu i przyszłej życia towarzyszki, nadto, wszelkie podobieństwo, że ojciec nie jest temu przeciwny, gdy mówię te i tym podobne okoliczności upewniały

ich, że w takowem postępowaniu nic złego i nieprzyzwoitego zdarzyć się nie może... Jednakże pokazało się potem że jw. wojewoda nadspodziewanie całkiem innego był w tej mierze mniemania; albowiem skoro się o ożenieniu syna dowiedział, wpadł najprzód w oburzenie i gniew tak przeciw synowi, jako i jego przyjaciołom. Wkrótce potym przybrał postać udobruchanego, jął synowi radzić, aby się nie smucił szczególniej zaś aby nie okazywał najmniejszego zmartwienia przed matką; a że od dawnego czasu przerwane z naszej strony bywanie w domu jw. wojewody mogło w synu wzniecać niejakie podejrzenie, pokazał mu więc swój list własnoręcznie do nas napisany, w którym nas do swego domu zapraszał, i kazał mu napisać podobnyż list do swej żony z usilną proźbą aby przyjechała, i wyrazić w nim, że rodzice nic jeszcze nie wiedzą o tem co się stało. Z listem swojego syna na jego rozkaz pisanym posłał jw. wojewoda sześciokonnym powozem swojego dworzanina nazwiskiem Wilczka, zatrzymawszy swój list u siebie. Ten chociaż zapewniał, przybywszy do naszego domu, że przyjechał bez wiedzy jw. wojewody i tylko na rozkaz jw. starosty, jednakże ja mając z poprzednich wiadomości pewność, że jw. wojewoda wie o ożenieniu syna, a w jego do żony liście właśnie przeciwnie wyczytawszy, domyślałem się łatwo że to rzecz umówiona, odezwałem się tedy w te słowa: Gdyby mię o to prosił jw. wojewoda, natenczas przywiózłbym własnym moim powozem najukochańszą córę moją, a jego synowicę w dom jego, dla złożenia mu mego uszanowania. Chcąc się przekonać o prawdzie wyprawiłem umyślnego do jw. starosty posłańca, wywiadując się od niego jak rzeczy stoją. Jw. starosta będąc już pozbawionym wolności pisania

czego innego, a przytem pilnie strzożony, odpisał mi ołówkiem te słowa: „Co się dzieje? i na jaki koniec posłano tego człowieka z powozem? o tem zgoła nic nie wiem. List ten kazał mi pisać ojciec, który pokazywał mi oraz list swój do jmć państwa zapraszając ich w dom swój. Zresztą nic nie wiem. Ojciec mój ciągle mi tylko powtarza: bądź dobrej myśli, nie daj po sobie poznać zgryzoty, aby tego matka nie postrzegła. Jednakże wybadywa mię przez jednego z ojców trynitarzy. Jak długo trwać będzie, i dokąd zmierza to fałszywe ze mną postępowanie? Nie wiem. Bardzo się dobrze stało żeście nie dowierzali tej posyłce, a ja mocno upraszam dać pilną baczność na osobę, od której, chociaż tu nieobecnej, moje życie i zdrowie zawisło.“ Skorom ten list dnia 4 lutego otrzymał, postanowiłem dla uniknienia podobnych pokuszeń na przyszłość, wyjechać pode Lwów do dóbr moich Nowesioło, zwłaszcza, że z powodu słabości mojej żony trzeba mi było mieć w bliskości lekarzów. Lecz oto przed samym wyjazdem przysyła jw. wojewoda umyślnego posłańca z listem tym samym który pokazywał pierwej synowi (jak to poprawiona data oczywiście dowodzi) i zaprasza mię z całą familją na ostatki zapust do siebie. Chociaż tą razą poprzednicza przestroga dana mi listem jw. starosty słuszny natrącała domysł, że tu idzie o to, aby, po nieudaniu się pierwszego zamachu, przyprowadzić go do skutku innym sposobem: sądziłem jednak, że zbliżenie się przyjacielskie i wyłuszczenie ustne nienagannych powodów naszego postępowania potrafi ułagodzić choćby największym gniewem oburzone umysły: postanowiłem więc korzystać z tej sposobności. Odprowadziwszy tedy moją coraz słabszą małżonkę do pomienionych dóbr, i przedsięwziąwszy środki

ku jej uzdrowieniu, udałem się sam w drogę do wojewody, wysławszy przodem dworzanina mego do Krystianopola, aby mi tam zamówił gospodę. Ten skoro się tam na miejscu pokazał, obskoczyli go natychmiast dworacy jw. wojewody, i przetrząsali do koszuli, wywiadując się czy nie wiezie jakich listów. Spatrzywszy porę sposobną, wyrwał się on od nich, i przybiegł do mnie opowiedzieć co się z nim działo. Przerażony taką nieludzkością, i nieupatrując sposobu złagodzenia umysłów zemstą pałających, oddałem się nadziei, że je sam czas ostudzi, i wróciłem z drogi do pomienionych dóbr moich pode Lwowem, nie spodziewając się, aby z obrazą praw krajowych jakakolwiek napaść wydarzyć mi się mogła. Lecz nad wszelkie spodziewanie rozpasana zuchwałość urągająca się z praw najświętszych, nie zostawiła mię na długo w spokoju. Albowiem dnia drugiego po moim powrocie, około dziesiątej godziny w nocy, tłum ludzi zbrojnych napada mój dom, odmienia mowę udając się za Moskalów, biciem i groźbą rozpędza służbę i poddanych, którzy według zwyczaju odbywali straż nocną, otaczają ówczesne moje mieszkanie tak, że żadnej drogi do ucieczki nie było: kilku z nich w dziwacznym stroju i z twarzą zaczernioną wpada z przeraźliwym wrzaskiem powtarzając te słowa: „Kondraty! (konfederaty) rubi! wiaży! koły!“ do pokoju, w którym siedziałem ja z moją małżonką i córką przy stoliku, strzelają do nas kulami, które jednak osobliwszem zrządzeniem opatrzności w ścianach pokoju utkwiły: a gdy ochraniając żonę moję i córkę do drugiego pokoju ich prowadziłem, strzelają do mnie raz jeszcze tak blisko, że kula przetarła mi włosy na głowie. Szlachetnie urodzonego Łukasza Trzaskowskiego, który się podówczas u mnie

znajdował, i usiłował zamknąć drzwi do drugiego pokoju wiodące, a tym sposobem wstrzymać tłum cisnący się, okrutnie kaleczą w chwili, gdy po wyważeniu drzwi przez nich, zasłaniał moją na ziemię obaloną małżonkę przed ich ciosami, jak to poświadcza urzędownie zrobiona obdukcja ran tak jemu jako i innym sługom zadanych, i obejrzenie sądowe kul w ścianach pozostałych. Inni podziurawili bagnetami pawilon nad łóżkiem. Nakoniec postrzegłszy moją córkę, małżonkę jw. starosty, stojącą między osobami płci swojej i drżącą z przelęknienia, zawołał jeden między nimi, który ją zapewne znał, te słowa: „Woźmit jej! ona znajet o kondratach“ (weźcie ją, ona wie o konfederatach) poczem porywają ją z sobą, bez względu na jej płeć delikatną i wiek młodociany, i wloką najokrutniejszym sposobem między końmi przez kilka staj, jak to poświadczały ślady jej stóp na śniegu zostawione. Dalej zaś uwożą ją bez futra, lub jakiejkolwiek przed zimnem osłony, czy to sankami, które we wsi widziano, czy też innym sposobem, o czem dokładnie wiedzic nie można. Przestraszona tak niespodzianym napadem małżonka moja, niemogąca uciekać dla słabego zdrowia, przywlokła się z wielką trudnością do bramy, a ztamtąd do najbliższej chaty jednego z poddanych, padając razporaz w zaspy śniegu wiatrem nawiane. W mniemaniu, że godzą na życie i majątek nas wszystkich, przebiera się aby ją nie poznano co w najlichszą odzież wieśniaczą, i każe się zawieźć temuż chłopowi do Lwowa, aby przynajmniej swoje życie ocalić mogła. Ja z mojej strony skoro postrzegłem, że mi moją kochaną córkę zrabowano, tknięty najgwałtowniejszą boleścią serca, zebrałem naprędce moich rozproszonych ludzi, i posłałem ich za rabusiami w pogoń;

lecz nadaremnie; albowiem oni podzielili się zaraz za wsią na kilka oddziałów, i rozbiegli się w różne strony, aby zniweczyć wszelkie usiłowania pogoni. Ciemność nocy w tej porze roku, dała im sposobność oddalenia się tak, że ludzie moi, nie dowiedziawszy się dokąd się rabusie z moją uwiezioną córką udali, powrócili do domu. — Możnaż się było spodziewać, że jeszcze coś okrutniejszego nasze rodzicielskie serca dotknie, jak to gwałtowne wydarcie córki z taką troskliwością wychowanej, obok jej wysokiego urodzenia wszystkiemi cnotami ozdobionej, będącej właśnie w tym wieku i stanie, w których można się było po niej spodziewać tak pożądanej naszych długoletnich trudów nagrody? A jednak zemsta niczem nieubłagana, i nienasycona osiągniętym skutkiem najokrutniejszego przedsięwzięcia, wynalazła podwójny środek pomnożenia naszych umartwień do rozpaczy nas przywodzących. Pierwszym z tych środków był manifest zrobiony przez jw. starostę bełzkiego, dnia 6 lutego w Krystianopolu przed księdzem, którego tylko imię Gabriel wymieniono, w przytomności dwóch wynalezionych świadków, mocą którego uznaje tenże swój małżeński związek, o którego ważności wątpić nie można, za nieważny, ogłasza swój indult, o który w liście swoim tak nalegał, za zmyślony, łącząc do tego najdotkliwsze, i cienia prawdy niemające, naszą zaś uczciwość nader krzywdzące zarzuty. Drugim środkiem była dawniej już szerzona i dotąd jeszcze bezczelnie powtarzana pogłoska, której żaden człowiek rozumny wiary dać nie może: jakoby rodzice sami własną swoją córkę uprowadzić i skryć kazali, gdy przeciwnie my sami mimo usilnych starań i nieszczędzenia wydatków, nie tylko jej wynaleźć niemożem, lecz żadnej nawet zasięgnąć pewności, czy ona żyje, lub nie.

Któż z tego rzetelnego wyłuszczenia powszechnie wiadomych okoliczności nie odgadnie prawdziwego tej zbrodni sprawcy? Mogłożby to być, aby mąż tak dostojny, którego zdanie powszechne prawdopodobieństwem wsparte jako sprawcę tej zbrodni potępia, nie czuł się obowiązanym, lub nie miał dostatecznych środków, do ratowania sławy swojej (jeżeliby to oszczerstwem być miało) przez wykrycie prawdziwych tej zbrodni sprawców, i pokazanie nam stroskanym rodzicom innej drogi do odzyskania ukochanej córki? Lub czy godziwa i przyzwoita, aby małżonek swoją małżonkę, której za usilnem staraniem i poprzedniczą rozwagą wierność zaprzysiągł, i którą własnoręcznie najognistszemi wyrazami o stateczności przywiązania swego upewniał, obojętnie, bez iskry czucia, niepewnemu losowi zostawił? Aby nie użył jak najrychlej środków, jakie ma pod ręką, i nie wyrwał jej z tak nieszczęśliwego położenia? Wszystko przeciwnie postrzegać można w postępowaniu jw. starosty, albowiem tenże oddala od swego boku ludzi podejrzanych o udział w tej zbrodni, dawszy zaręczenie, że jeśli rzecz tego wymagać będzie, przystawić ich nieomieszka, a tem samem w wywiedzeniu się o losie mojej córki od owych wskazanych przezemnie ludzi, i wymierzeniu sprawiedliwości na zbrodniarzach staje mi na zawadzie, kładzie więc kres mojej cierpliwości, która jedynie na szlachetnem przypuszczeniu mojem, o jego stałości dla żony, polegała.

Tak tedy nieznośnem okrucieństwem rozzuchwalonej przemocy uciśniony, wzywam po Bogu, mojej najpierwszej ochronie, waszego miłosierdzia wy wielkoduszni monarchowie, wy, którzy światem rządzicie, i macie od Boga sobie powierzoną władzę dla ratowania uciśnionych i prześladowanych. Wy, którzy biorąc władzę przyrze-

kliście zabezpieczyć wolność każdego z waszych poddanych, przywróćcie mi dziś moją, przez udzielenie mi skutecznej pomocy. Ciebie w szczególności najjaśniejszy Stanisławie Auguście! mój najmiłościwszy królu i panie błagam o pomoc. Was wszystkich zacni spółobywatele, was rodzice, którzy mocą praw przyrodzonych kochacie wasze dzieci! Z tak bezprzykładnem i nieukróconem zuchwalstwem na mojej osobie popełniona zbrodnia, powinna wzbudzić waszą spółlitość o bezpieczeństwo własne. Wzywam nakoniec was wszystkich, którzy mi stanem równi jesteście, i którzy litując się mej krzywdy, zechcecie mi podać rękę pomocną. Klęska bowiem narodu jest klęską każdego obywatela, a skrzywdzenie jednego uważać wypada za obrazę równości, że nie rzekę, za zupełne jej zniesienie. Niegodziwość przeciw jednemu wymierzona, dosięgnąć może i drugich. Bogdajby ta żałoba nasza o pokrzywdzenie szlacheckiej równości i zuchwałe praw pogwałcenie, stała się powodem do postanowienia sprawiedliwej i najsurowszej kary na sprawców i wykonywaczy tak nieludzkiego czynu; takowe to postanowienie położyłoby tamę najmocniejszą bezprawiom; a bogdajby też przyczyniło się do powrócenia nam stroskanym rodzicom wydartej córki.

Pragnąc oglądać skutek sprawiedliwych moich żądań, protestuję urzędownie niniejszem przeciw wyż spomnianym osobom, które niegdy jw. Franciszkowi Salezemu Potockiemu ręką i radą były pomocne, których imiona i nazwiska na teraz się nie wymieniają, lecz w swoim czasie wymienione będą, a to: o lekceważenie szlacheckiej równości, i jawnego zamiaru jej obalenia, o gwałtowny napad mego domu przez umyślnych na to wysłańców, o najniegodziwsze targnienie się na nasze życie, o pobicie i zranienie szlachetnie urodzo-

nego Trzaskowskiego, i okrutne z naszymi ludźmi obejście się; o rabunek, uwiezienie i ukrycie naszej kochanej córki, tak, że do tej chwili nie wiemy czy żyje,*) o niegodziwe i fałszywe oczernienie naszej czci dotąd nieskalanej, i podejmuję się udowodnić to wszystko.

Jakób hrabia Komorowski kasztelan santocki, starosta nowosielski i podlisiecki, ręką własną. Złożył w przygotowanym odpisie, i własną ręką podpisał. (L. S.) Puchała, ręką własną. Czytał Swieżawski.

II.

(Intercyza ślubna.)

M[illegible]zy jaśnie wielmożnymi jmć państwem Jakób[illegible] na Susznie i Niestanicach hrabią z Liptowa [illegible]ntoniną z hrabiów z Werbna Pawłowskich Komorowskimi małżonkami: nowosielskimi, podlisieckimi starostami z jednej, a jaśnie wielmożnym jmć panem Stanisławem z złotego Potoka Potockim, starostą bełzkim, jaśnie wielmożnych Franciszka Salezego i Anny obojga z złotego Potoka Potockich wojewodów, jenerałów ziem kijowskich małżonków, synem z drugiej strony, staje w niżej opisanych punktach intercyza ślubna. Iż jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wielkich antenatów znamienitemi w ojczyźnie zasługami zaszczyconych, pierwszemi honorami wyniesionych potomek domu Potockich, przeszło już pięcią wiekami najpierwszemi godnościami wsławionego, władzą kilkudziesiąt walecznych najwyższych wodzów zaszczyconego, senatorskich krzeseł więcej pięciudziesiąt zaszczytem sławnego, pierwszemi

*) Porwana zadusiła się kiedy ją wieźli, bo aby nie krzyczała, zawiązano jej usta: rabusie znalazłszy ją nieżywą, rzucili w odnogę Bugu koło Jastrzębicy. p. w.

ministerjami i urzędów koronnych wielością znakomitego, dziełami rycerskiemi w boju i pokoju, chwalebnemi czynami nieprzerwanie zawsze słynącego, namiestniczą godnością królów w trzech wiceregach wygórowanego, w zagranicznych nadto królestwach wysokiemi honorami znamienitego, dziedzic imienia wielkiego Potockich i krwi przezacnej z pierwszych familij polskich z książęcych domów, królewskich tronów i wyniesionych w Europie monarchów, wypływającej i podział mającej sukcesor, a ze wszech miar godnych rodziców jaśnie wielmożnych wojewodów jenerałów ziem kijowskich nieodrodny syn, władnącej sercem i wolą Boga wszechmocności oprzeć się niemogąc, przeznaczenie wyroków nieba, ile w zupełnej doskonałości zostając, jawnie poznawając, i nieodmienną determinacją dalszego pożycia swego z przepaścistego Boskiego rozrządzenia widoczną mając, wraz i skłonnością serca i rozporządzeniem Boskiem wyższem nad wolą ludzką zniewolony do jaśnie wielmożnej jmć panny Gertrudy hrabianki Komorowskiej, starościanki nowosielskiej, godnej córki jaśnie wielmożnych jmć państwa Jakóba i Antoniny z Pawłowskich hrabiów Komorowskich, starostów nowosielskich, podlisieckich; w tym domu tedy jaśnie wielmożnych hrabiów z Liptowa Komorowskich, niegdyś gniazdowym królestwa węgierskiego i wysoce zaszczyconym, tu od trzechset lat przy przeniesieniu się do królestwa polskiego już senatorskiemi godnościami i różnemi koronnemi urzędami dawniej zaszczyconym, teraz świeżo prymacjalną godnością i kilku senatorskiemi krzesłami wygórowanym, skoligaceniem zacnych familij i krwi zacnością znakomitym, dożywotniego przyjaciela szacunek nad wszystko przechodzącego zsamejże Boskiej ordynacji znajdując i upa-

trując, którejto jaśnie wielmożnej Giertrudzie hrabiance Komorowskiej starościance nowosielskiej nietylko dary natury, to jest zacność imienia, godność krwi od przodków przez rodziców wlana zalecenie dają, ale dary od Boga obficie wlane, o przymiotach zacnych i rozlicznych talentach jakoby w jedno zebranych dając, szacunek i estymę czynią, a ztąd z wymiaru darów Boskich i tak znacznych talentów wysokiemu, jakie ją potyka, postanowieniu z przewidzenia Boskiego przeznaczona zostaje; za zrządzeniem więc Boskiem idąc jaśnie wielmożny Potocki starosta bełzki wszelkie usilne starania o dożywotnią przyjaźń tejże jaśnie wielmożnej hrabianki Komorowskiej łożyć nieustając; jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowscy, starostowie nowosielscy, rodzice, poważając sobie tak zacność konkurenta, skłonność prawdziwego serca i affektu z obu stron poznawając, oprzeć się nieodstępnemu żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego niemogąc, zagradzać szczęścia od Boga przeznaczonego ukochanej córce swojej za niesłuszną rzecz być sądząc, wyrozumiewając oraz już od samych niebioswyroki, poddając wolą swą pod wolą Najwyższego, nakłaniając się żądaniu jaśnie wielmożnego starosty bełzkiego, we związek i stan małżeński też córkę swoją jaśnie wielmożną jmć pannę Gertrudę hrabiankę Komorowską starościankę nowosielskę, nieodmiennym słowem deklarują i dzień ślubu poprzysiężenia sobie wiary obopólnie małżeńskiej w dobrach swych Niestanicach, dzień dwudziesty ósmy miesiąca grudnia w roku teraźniejszym 1770 naznaczają, na któren akt ślubu jaśnie wielmożny starosta bełzki przybyć ma. Po której to jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej starościance nowosielskiej, jaśnie wielmożni hrabiowie Komorowszy rodzice, sto tysięcy złotych polskich w goto-

wiźnie tym czasem wypłacić posagu z dóbr ojczystych i macierzystych naznaczają, i deklarują, oprócz wyprawy, która nietylko stanowi i kondycji jaśnie wielmożnej hrabiance przystojna być ma, ale jako w tak zacny dom idącej powiększona zostanie, po długiem zaś da Bóg pożyciu obojga jaśnie wielmożnych hrabiów Komorowskich rodziców, równy podział ojczystej i macierzystej substancji między wszystkich sukcesorów nastąpić powinien. Jaśne wielmożny zaś starosta bełzki własnej woli i szczegero affektu przyszłej małżonce swej jaśnie wielmożnej Gertrudzie hrabiance Komorowskiej summę*) — — — — — — prostego długu niniejszą zapisuje intercyzą, któren zapis moc grodowej tranzakcji mieć ma: oraz dożywocie na wszystkiej substancji tym samym kontraktem ślubnym zeznaje, a po doszłym da Bóg związku małżeńskim wspólne dożywocie wzajem sobie przyszli małżonkowie uczynić mają, „jura communicativa", na wszelkie królewszczyzny z szafunku łask królewskich pozyskiwane jaśnie wielmożny starosta bełzki dla przyszłej małżonki swej wyrabiać obliguje się. Jako zaś wielkiej zacności i charakteru jaśnie wielmożny starosta bełzki, tak przyszłej małżonki swej, bo żadnych tranzakcij gwałt i pokrzywdzenie prawom jej czyniących pociągać nie będzie i nie ważne zostałyby. Któren to kontrakt ślubny czyli intercyzę strona stronie aktami grodu któregokolwiek, którejkolwiek prowincji roborować pozwala i podpisami rąk swych przy użytych i przytomnych przyjaciołach stwierdzają. Działo się w zamku suszeńskim dnia ośmnastego listopada 1770 roku.

---

*) W oryginale tej intercyzy zostawione tu białe miejsce.

Czterdziesti obrasków dla rozdarowania młodym i starym. Czterdzieści kolorowych drzeworytów z przykładów moralnych i z pisma świętego z wierszykami lub sentencjami. 32. Cena 1 Mk. 50 Pf.

Emigracja polska od 1831 do 1863 roku. Krótki rys historyczny. (Heltmana.) 1865. 8. 1 Mk.

Galicja w 1863 r., przez autora „Wspomnień kapitana wojsk polskich z 1863 roku“. 1865. 8. 80 Pf.

Górecki, Antoni, Pisma. Pierwsze wydanie całkowite, uprawnione przez spadkobierców. 1877. 8. Cena 5 Mk. Opr. w płutno 6 Mk. 50 Pf.

Konstytucja Trzeciego Maja 1791 roku, z uwagami podawanemi jej twórcom w 1789 roku i dwoma późniejszemi tejże konstytucji ocenieniami. (Janowski. Heltman.) 1865. 8. 1 Mk.

Książeczka do nabożeństwa w czasach Konfederacji Barskiej ułożona, teraz na nowo przejrzana i znacznie pomnożona. 1875. 16. 1 Mk. 50 Pf.

Polska w roku 1861, 1862, 1863. Fotografja. Zbiór 67 portretów i scen z ostatniego powstania polskiego. (Wysokość fotografji 7 cali, szerokość 9 cali.) 1865. 4. 3 [illegible].

Wspomnienia kap[illegible] [illegible]skich z roku 1863. 1866. 12. 8[illegible] Pf.

Księgarnia [illegible]ictwo
E. Ł. KASPR[illegible]ICZA W LIPSKU
poleca się Szanownej Pu[illegible]ści do najróżnorodniejszych pośredni[illegible] granica, oraz chętnie bierze w nakła[illegible] skutku przyprowadza wydania k[illegible] pod najtańszejmi warunkami, jak[illegible] pod rygorem najściślejszej dyskrecji, we wszystkich językach. Przyjmuje także do wykończenia wszelakie prace literackie, tłumaczenia i korekty.

Nakład E. Ł. Kasprowicza w

Bibljoteczka kieszonk

No. I.

Kirgiz.

Powieść poetyczna przez G
Zielińskiego.
(Cena 30 Pf., w oprawie

No. II.

Śpiewy histor

prze Niemcewi
(Cena 1 Pf., w
2 Mk. Pf.)

. III.

r d

OSWOBODZONEJ POLSKI WZ
(Cena 2 Mk., w oprawie
(Dalszy ciąg w przygoto

Z drukarn G. Uszr na w W